MAGAZYN NOWOŚCI

pod firmą

AU BONHEUR DES DAMES

PRZEZ

EMILA ZOLĘ.

TOM CZWARTY.

WARSZAWA.
Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego

1883.

Дозволено Цензурою
Варшава 5 Мая 1883 года.

w Drukarni Przeglądu Tygodniowego, ulica Czysta № 2.

ROZDZIAŁ I.

Lecz cierpienia Moureta miały się jeszcze zwiększyć: stał się zazdrośnym. Pewnego poranku w gabinecie przed sesyą, Bourdoncle, odważył się dać mu do zrozumienia, że ta mała z konfekcyj, żartuje sobie z niego.

— Jakto? — spytał, blednąc strasznie.

— Ale tak, ma tu, u nas, kochanków.

Mouret zdobył się na uśmiech.

— Nie myślę już o niej, mój kochany... Możesz śmiało mówić.. Któż to, ci kochankowie?

— Podobno Hutin... jeden z subiektów od koronek, Deloche, ten wysoki głupi chłopak... Nie utrzymuję tego na pewno, bom ich nigdy nie podpatrzył; ale, jak słyszę, jest to bardzo widoczne.

Nastąpiło milczenie. Mouret udawał, że układa papiery na biurku, ażeby ukryć, ze mu ręce drżą. Nakoniec powiedział, niepodnosząc głowy:

— Trzebaby na to dowodów; postaraj się o dowody... O, co do mnie, powtarzam raz jeszcze, że drwię sobie z niej, bo już mię zaczęła nudzić. Ale nie możemy pozwalać na takie rzeczy u siebie.

Bourdoncle odpowiedział:

— Bądź spokojnym; będziesz miał dowody w tych dniach, czuwam nad tem.

Odtąd Mouret stracił resztki spokoju; nie miał siły wznowić o tem rozmowy; żył w ciągłem oczekiwaniu katastrofy, która miała mu zmiażdżyć serce. Skutkiem tego udręczenia, stał się strasznym; cały dom drżał przed nim. Nie zasłaniając się już Bourdoncle'm, sam dokonywał egzekucyj, party nerwową potrzebą zadowolenia złości; czuł ulgę w nadużywaniu tej potęgi, która mu nie mogła posłużyć do zaspokojenia jedynej jego żądzy Każdy jego przegląd stawał się klęską; gdy się ukazał, paniczny strach przejmował kantory. Właśnie nadchodziła martwa pora zimowa, wymiatał więc oddziały. Coraz więcej przybywało ofiar, ktore wypędzał na ulicę. Pierwszą jego myślą było wygnać Hutina i Deloche'a; ale zastanowił się potem, że w takim razie niczego się niedowie; inni więc musieli odpowiadać za nich. Cały personel drżał z przerażenia. Wieczorem dopiero gdy się ujrzał samotnym, powieki mu od łez nabrzmiewały.

Pewnego dnia zapanował szczególniejszy postrach: jednemu z inspektorów zdawało się, że rękawicznik Mignot kradnie. Jakieś dwuznaczne dziewczęta ciągle się kręciły koło jego kontuaru i zatrzymano jedną, mającą w koło bioder i na gorsie sześćdziesiąt par rękawiczek. Inspektor złapał Mignota na gorącym uczynku, gdy uła-

twiał kradzież wysokiej blondynce, niegdyś sklepowej w Luwrze, obecnie zaś włóczącej się po chodnikach. Brał się on do rzeczy w bardzo prosty sposób: udając że jej przymierza rękawiczki, czekał póki się nie obłowiła, poczem prowadził ją do kasy, gdzie płaciła za jedną parę. Właśnie naówczas znajdował się tam Mouret; zazwyczaj nie lubił on wdawać się w podobne sprawy, które się często tam przytrafiały, gdyż pomimo dobrze uregulowanej maszyny, wielki bezład panował w niektórych oddziałach i nie było dnia, by którego z subiektów nie wydalono za kradzież. Dyrekcya wolała pokrywać milczeniem te wypadki, ze względu na to, że wdawanie się policyi, odkryłoby najbrzydszą ranę wielkich bazarów. Ale tego dnia Mouret czuł potrzebę gniewu, gwałtownie napadł więc na ładnego Mignota, który trząsł się ze strachu, zbladł i zmienił się okropnie.

— Powinienem zawołać policyanta; — krzyczał Mouret stojąc pomiędzy subiektami. Powiedzże co to za kobieta?... Przysięgam, że poszlę po komisarza, jeżeli nie wyznasz prawdy.

Wyprowadzono winowajczynię, rozbierały ją dwie sklepowe; Mignot wyjąkał:

— Ja jej nie znam; nigdym jej nie widział... sama przyszła.

— Nie kłam! — przerwał Mouret z większą jeszcze gwałtownością. I nie ma tu nikogo, coby nas ostrzegł! Wszyscy jesteście w zmowie, daję

słowo! Jakby w lesie Bondy, tak nas okradają, rabują! Należałoby nie wypuszczać nikogo bez zrewidowania kieszeni.

Dało się słyszeć szemranie. Trzy czy cztery klientki, kupujące rękawiczki, stały pomięszane.

— Milczeć!—zawołał Mouret rozwścieczony — bo wszystkich wygnam.

Bourdoncle przybiegł, obawiając się skandalu i szepnął mu kilka słów na ucho. Sprawa przyjmowała poważny obrót; namówił go, aby zaprowadzono Mignota do biura inspektorów, mieszczącego się w pokoju na parterze, obok bramy Gaillon. Owa kobieta znajdowała się tam już i najspokojniej kładła gorset. Oskarżała ona Alberta Lhomme. Mignot nanowo badany, stracił głowę i szlochał, tłómacząc się, że niewinien, bo to Albert nasyła mu swoje kochanki. Z początku ułatwiał im tylko tańsze kupno, dawał korzystać z okazyj; potem gdy zaczęły kraść, zanadto się już czuł kompromitowanym, by mógł przestrzedz tych panów. Dowiedzieli się oni wówczas o osobliwszych kradzieżach: dziewczęta ściągając ukradkiem towary, przywiązywały je pod spódnicami w wykwintnych gabinetach, urządzonych obok bufetu, pośród zielonych krzewów; subiekci nie podawali kupna w kasie, zaprowadziwszy tam klientkę, a wartością sprawunku dzielili się z kasyerem. Bywały nawet fałszywe „zwroty" artykułów, które zamieszczali w księgach jako oddane, żeby skraść pieniądze, nibyto złożone w ka-

sie. Prócz tego zdarzały się klasyczne kradzieże paczek zabieranych wieczór pod surdutem, które okręcano sobie w koło bioder, a czasami zwieszano wdzłuż nóg. Od czternastu miesięcy, dzięki Mignotowi, a bezwątpienia innym też subiektom, których nie chcieli wymienić, w kasie Alberta powstała giełda: znikały tam sumy, których rzeczywistej wysokości, nigdy się niedowiedziano.

Tymczasem wieść o tem rozniosła się po wszystkich oddziałach. Niespokojne sumienia truchlały; najuczciwsi i najpewniejsi siebie, obawiali się wydalenia. Widziano, jak Albert znikł w biurze inspektorskiem. Następnie udał się tam Lhomme, duszący się, z twarzą krwią zaszłą, z szyją dławioną już przez apopleksyę. Potem przywołano samą panią Aurelią; poszła z głową do góry, pomimo doznanego wstydu; ale tłusta jej twarz żółta była jak z wosku. Objaśnienia trwały długo i nikt się niedowiedział dokładnie szczegółów. Opowiadano, że *starsza* tak wypoliczkowała syna, że aż mu się szyja skręciła i że stary poczciwy ojciec płakał, kiedy Mouret zazwyczaj tak łaskawy, klął jak furman, chcąc koniecznie oddać winnych pod sąd. Jednakże przytłumiono skandal, tylko Mignot w tejże chwili został wygnany. Albert znikł dopiero we dwa dni później; zapewne matka wyprosiła to, żeby honor rodziny nie ucierpiał od natychmiastowej egzekucyi. Lecz panika trwała jeszcze przez dni kilka, gdyż Mouret po tej scenie przechadzał się po wszystkich

salach z groźną miną, karcąc każdego, co śmiał podnieść oczy.

— Co pan tak próżnujesz, gapiąc się na muchy?... Ruszaj do kasy.

Nakoniec burza wybuchła nad głową samego Hutina. Favier zamianowany drugim subiektem, starał się o to, żeby go wyrugować. Była to zawsze ta sama taktyka: potajemne raporty do dyrekcyi, korzystanie z lada sposobności, byleby zgubić naczelnika oddziału. Otóż pewnego poranku, kiedy Mouret przechodził przez salę jedwabi, zatrzymał się zdziwiony, że Favier zmienia etykiety całego assortymentu aksamitu czarnego.

— Dla czego pan zniżasz ceny? — spytał — kto panu to rozkazał?

Drugi subiekt, który wszelkiemi sposobami starał się zwrócić uwagę dyrektora na tę robotę, przewidując scenę, odpowiedział z miną naiwną i zdziwioną:

— Pan Hutin.

— Pan Hutin!... Gdzież on jest?

Gdy tenże powrócił z biura odbiorów, dokąd udał się po niego jeden z subiektów, nastąpiła długa eksplikacya. Jakto! teraz samowolnie zniżasz ceny? Obecnie on się znów zadziwił i odrzekł, że mówił tylko z Favierem, że wartoby zniżyć ceny, ale nie wydał mu rozkazu. Tu, Favier przybrał zasmuconą minę człowieka, zmuszonego zaprzeczyć swemu naczelnikowi, gotów był nawet wziąść winę na siebie, jeśli go tem wy-

ratuje z kłopotu. Sprawa ta przybrała jeszcze gorszy obrót.

— Słyszysz panie Hutin! — krzyczał Mouret. Nigdy nie upoważniałem cię do podobnej samowoli. My tylko postanawiać możemy zniżkę marki.

Mówił dalej w ten sposób, ostrym głosem, z wyraźną chęcią dokuczenia, co wszystkich subiektów dziwiło, bo zazwyczaj podobne spory odbywały się na boku; wreszcie mogło to być tylko nieporozumienie. Czuć było w nim złość, której musiał rzucić coś na pastwę. Nakoniec schwytał na uczynku tego Hutina, który uchodził za kochanka Dyonizy! Mógł przeto trochę ulżyć sobie, dając mu boleśnie uczuć, że jest jego panem! Przesadzał tę rzecz i dawał dotkliwie do zrozumienia, że to zniżenie ceny kryje w sobie nieuczciwe zamiary.

— Chciałem poddać tę zniżkę pańskiej decyzyi... ona jest koniecznie potrzebna, bo jak panu wiadomo te aksamity nie mają odbytu.

Mouret na zakończenie sprawy, rzekł ostro:

— Dobrze, mój panie; zbadamy tę rzecz i niechaj się to już nie powtórzy, jeśli chcesz pozostać u nas.

Potem odwrócił się plecami, a Hutin odurzony i wściekły, mając pod ręką tylko Faviera, któremu się mógł wywnętrzyć, przysiągł, że temu grubianinowi rzuci w twarz swoją dymisyę. Później nie wspominał już o wydaleniu się, ale zbie-

rał szkaradne oszczerstwa, obiegające pomiędzy subiektami o całej dyrekcyi. Favier zaś, któremu oczy błyszczały, bronił się z wielkiemi oznakami życzliwości. Przecież musiał coś odpowiedzieć. Nieprawda? Zresztą czy można było przewidzieć podobną historyę o głupstwo? Co się dzieje z pryncypałem od pewnego czasu, że taki nieznośny?

— O, to wiadome co się z nim dzieje; — powiedział Hutin — ta żórawica z konfekcyj przemieniła go na osła!... Widzisz, mój kochany, ztąd poszła cała bieda. On wie, żem z nią romansował i jest mu to nieprzyjemne; albo też ona mię chce ztąd wygryść, bo jej zawadzam... Przysięgam, że się jej dam we znaki, jeżeli mi kiedy wpadnie w ręce.

We dwa dni potem, gdy Hutin szedł do pracowni konfekcyj na poddasze, by zalecić tam jedną robotnicę, drgnął, spostrzegłszy w końcu korytarza Dyonizę z Delochem, opartych o parapet otwartego okna i tak pogrążonych w poufnej rozmowie, że nawet głów nie odwrócili. Błysnęła mu myśl podejścia ich, lecz ujrzawszy z zadowoleniem, że Deloche płacze, cofnął się po cichu i zaraz na wschodach opowiedział na prędce historyę Bourdoncle'owi i Jouve, że należy na górze jakąś naprawę uskutecznić, liczył bowiem na to, że pójdą tam i rzecz całą odkryją. Bourdoncle spostrzegł ich pierwszy. Stanął i kazał Jouve'owi pójść po dyrektora, a sam miał pozostać na war-

cie. Inspektor musiał być posłuszny jego rozkazom, lecz było mu bardzo przykro mieszać się do podobnej sprawy.

Magazyn Nowości stanowił osobny światek; do którego prowadziła plątanina wschodów i korytarzy. Pracownie mieściły się na strychu; był to szereg sal nizkich w mansardach, oświetlonych szerokiemi otworami wykrojonemi w cynku; prócz czterech ścian, były tam tylko stoły i duże piece do topienia metali. Oto gdzie szeregi bieliźniarek, koronczarek, tapicerek i szwaczek, żyły zimą i latem, w dusznej gorącej atmosferze warsztatowej. Trzeba było przejść wzdłuż całego skrzydła gmachu, zwrócić się na lewo od pracowni konfekcyj i dopiero po pięciu wschodkach dochodziło się do końca korytarza. Bardzo nieliczne klientki, które tam czasami prowadził subiekt, dla przyjęcia zamówień, musiały odpoczywać po drodze, zmęczone i odurzone. Doznawały one tego wrażenia, że od kilku godzin kręcą się w kółko i są o sto mil od ulicy.

Dyoniza już kilka razy spotykała tam Deloche'a, czekającego na nią. Jako podstarsza w oddziale, była w ciągłych stosunkach z pracownią, gdzie wykonywano tylko modele i poprawki. Co chwilę prawie udawała się tam, żeby wydać jakie zlecenie. Deloche czyhał nad nią pod różnemi pozorami; ścigał ją znienacka, a potem udawał zadziwienie; spotkawszy ją u wejścia do pracowni konfekcyj. Nakoniec zaczął ją pobudzać do

śmiechu; był to jakby rodzaj umówionych schadzek. Korytarz ciągnął się koło zbiornika wody, wielkiego sześcianu z tolu, zawierającego sześćdziesiąt tysięcy litrów wody; na dachu zaś był drugi zbiornik tejże wielkości, do którego dochodziło się po żelaznej drabinie. Przez chwilę Deloche rozmawiał oparty jednem ramieniem o zbiornik, z widocznem znużeniem w zgiętej choć atletycznej postaci. Woda wydawała jakieś śpiewne, tajemnicze melodye, których drgania muzyczne odbijały doskonale ściany zbiornika z tolu. Pomimo głębokiej ciszy, Dyoniza oglądała się niespokojnie, wydawało jej się bowiem, że ujrzała przesuwający się cień po gołym murze, pomalowanym na kolor jasnożółty. Lecz wkrótce stanęli przy oknie, oparli się o nie, zapominając o wszystkiem wśród wesołej gawędy i wspomnień o rodzinnych stronach. U stóp ich rozciągało się ogromne oszklenie galeryi centralnej, szklanne jezioro okolone zdaleka dachami jakby brzegiem skalistym. Ponad sobą zaś widzieli tylko przestwory niebieskie, odbijające się w stojącej wodzie szyb, zwolna poruszające się obłoki i lazury blade.

Właśnie tego dnia Deloche mówił o Valognes.

— Kiedym miał sześć lat, matka mnie zabierała z sobą i jechaliśmy wózkiem na targ miejski. Jak pani wiadomo, jest do miasta dobrych trzynaście kilometrów, trzeba więc było wyjeżdżać

z Briquebec o godzinie piątej. W naszej okolicy jest bardzo ładnie. Czy ją pani znasz?

— Tak, tak, — odpowiedziała zwolna Dyoniza z oczami w dal wpatrzonemi; raz tam jeździłam, ale będąc jeszcze maleńką. Po obu stronach drogi są pastwiska, prawda? i gdzie niegdzie para baranków ciągnie sznur od swoich pęt...

Umilkła na chwilę, poczem znów rozpoczęła z bladym uśmiechem:

— U nas ciągną się proste drogi przez kilka mil pomiędzy drzewami. Mamy łąki ogrodzone płotami wyższemi odemnie, na których pasą się krowy i konie... Jest też rzeczka i woda w niej bardzo zimna, pośród krzaków, w jednem miejscu, które doskonale pamiętam.

— To tak jak u nas! zupełnie jak u nas! — wołał Deloche w zachwyceniu. Wszędzie tylko trawa; każdy ogradza swój kawałek tarniną lub wiązami i jest się tam jak u siebie; a wszystko to zielone; takiej zieloności nie widać w Paryżu... Mój Boże, wieleż to razy bawiłem się przy drodze, na lewo od młyna.

Głosy ich cichły, stali z wlepionemi oczami w oświecone słońcem szklane jezioro. Wznosił się dla nich miraż z tej oślepiającej wody; widzieli nieskończone pastwiska, Cotentin przesiąkły wyziewami oceanu, okolony jasną mgłą, rozpływającą się na horyzoncie w szarawe delikatne barwy akwarelowe. Na dole, pod kolosalnem wiązaniem żelaznem, w halli jedwabi, huczała

sprzedaż i maszyna w ruchu; cały dom drżał od stąpania tłumu, od krzątania się subiektów i tłoku dwudziestu tysięcy ludzi; oni zaś porwani marzeniem, słyszeli w tym głębokim i głuchym zgiełku, od którego trzęsły się dachy, wiatr szumiący w bujnej trawie i wstrząsający drzewami.

— Mój Boże! panno Dyonizo... — bełkotał Deloche — dla czego pani nie chcesz być litościwszą... ja cię tak kocham!

Łzy mu zabłysły w oczach i gdy chciała przerwać gestem, dodał żywo:

— O, pozwól pani choć raz jeszcze wypowiedzieć się... Takby nam dobrze z sobą było. Zawsze jest o czem gawędzić, gdy się pochodzi z jednych stron. Głos uwiązł mu w gardle, odezwała się więc łagodnie:

— Jesteś pan nierozsądny, obiecałeś nie mówić już o tem... To jest niepodobieństwem. Mam dla pana dużo przyjaźni, jako dla poczciwego chłopca, ale chcę pozostać wolną.

— Tak, tak; wiem, pani mię nie kochasz, — rzekł złamanym głosem. O, możesz pani przyznać, nie dziwię się, bo nie mam w sobie nic godnego kochania. Jedyną szczęśliwą chwilą w mojem życiu był ten wieczór, kiedym panią spotkał w Joinville, przypominasz sobie? Tam pod drzewami, gdzie było tak ciemno, zdawało mi się, na mgnienie oka, że ręka pani drży i byłem tak głupi... żem sobie wyobraził...

Dyoniza znowu nie dała mu dalej mówić. Jej czujne ucho posłyszało kroki Bourdoncle'a i Jouve'a, na końcu korytarza.

— Słyszysz pan, zdaje się, że ktoś idzie?

— Ależ nie; — odpowiedział, zatrzymując ją przy oknie. To w zbiorniku szumi woda. Zawsze tam słychać osobliwszy jakiś szmer, jak gdyby się człowiek pluskał.

Deloche ciągnął dalej swe bojaźliwe i pieszczotliwe skargi. Ona go już nie słuchała; porwana znowu marzeniem o miłości, wodziła okiem po dachach magazynu. Na prawo i na lewo galeryi oszklonej, szły inne galerye, inne halle błyszczały na słońcu, pomiędzy oknami na strychu, ciągnącemi się rzędem jak w koszarach. Wznosiły się wiązania metalowe; wschody i mosty, wyrzynane jak koronki, odbijały się w błękicie powietrza; kominy kuchenne buchały dymem fabrycznym, wielki zaś kwadratowy rezerwoar wody na dachu, stojący na słupach lanych z żelaza, wyglądał jak budowla z barbarzyńskich czasów, wzniesiona w tem miejscu przez dumę jednego człowieka. W oddaleniu huczał Paryż.

Gdy się Dyoniza oderwała od tych przestrzeni obejmujących Magazyn Nowości, gdzie myśli jej bujały jakby w pustyni, spostrzegła, że Deloche trzyma ją za rękę, z twarzą tak wzburzoną, że nie śmiała jej cofnąć.

— Przebacz pani, — szeptał — już się to więcej nie powtórzy i byłbym bardzo nieszczęśliwy,

gdybyś mi za karę odebrała swoją przyjaźń.... Przysięgam, żem chciał co innego powiedzieć. Postanawiałem zrozumieć należycie swoje położenie i pójść za głosem rozsądku.

Łzy potoczyły mu się znowu po twarzy i robił wysilenia, żeby mówić pewnym głosem.

— Znam swój los; wiem, jakie jest moje przeznaczenie w życiu. Szczęście nie zwróciłoby się teraz ku mnie. Gnębiony byłem i tam i w Paryżu i wszędzie. Cztery lata jak tu jestem, a pozostaję zawsze ostatnim w oddziale... Chciałem pani powiedzieć, żebyś się nie smuciła z mego powodu... nie będę cię już nudził. Staraj się być szczęśliwą i kochaj innego; tak, sprawi mi to przyjemność. Będę szczęśliwy twojem szczęściem...

Nie mógł dokończyć... Jakby dla przypieczętowania swojej obietnicy, przycisnął usta do ręki dziewczyny, którą ucałował z pokorą niewolnika. Bardzo wzruszona, rzekła z prostotą i bratniem współczuciem, które litość czyniło mniej przykrą:

— Mój biedny chłopcze!

Lecz nagle drgnęli i obrócili się: Mouret stał przed nimi.

Już od dziesięciu minut, Jouve szukał po magazynach dyrektora, który się znajdował w warsztatach nowej fasady, od ulicy Dziesiątego Grudnia. Codzień przybywał on tam długi czas, probując obałamucić się robotami, o których tak długo marzył. Uciekał od swych udręczeń pomiędzy mularzy wznoszących narożne słupy z ciosowego

kamienia i ślusarzy spajających żelazne sztaby ogromnego wiązania. Już się fasada wznosiła, zarysowywała rozległy portyk i łuki pierwszego piętra, jakby rozwijający się szkic ogromnego pałacu. Włazil na drabiny, spierał się z budowniczym o ozdoby, wymagająo, aby w całkiem nowym guście były; przeskakiwał przez stosy żelaza i cegieł, schodził nawet do piwnicy. Huk maszyny parowej, zgrzyt cylindrów windy, grzmot młotów, gwar całej ludności roboczej, pośród ogromnej klatki z desek, odurzały go rzeczywiście na niejaką chwilę. Wychodził ztamtąd ubielony wapnem, czarny od opiłków żelaza, w butach obryzganych wodą, ciękącą z kurków, lecz zawsze tak mało uleczony z choroby, że cierpienia wracały i wstrząsały jego sercem coraz silniej, w miarę jak się oddalał od wrzawy warsztatowej. Właśnie tego dnia rozerwawszy się trochę, odzyskał na chwilę wesołość i ożywiony przeglądał albumy z rysunkami mozaik i emaliowanych ozdób z terrakoty, mającemi zdobić fryzy, kiedy zdyszany Jouve przyszedł go szukać, bardzo niezadowolony, że musi swój surdut narażać na pył i kurz pomiędzy materyałami budowlanemi. Mouret najpierw krzyknął, że mogą nań zaczekać; lecz gdy inspektor szepnął jedno słówko, udał się za nim, drżąc cały. Nic już dlań nie istniało: fasada runęła zanim ją wybudowano; co po tym tryumfie pychy, kiedy imię jednej kobiety wymówione zcicha, sprawia mu takie męki!

Na górze Bourdoncle i Jouve uznali za stosowne zniknąć, Deloche także uciekł. Jedna tylko Dyoniza pozostała przed Mouretem, bledsza niż zwykle, lecz z okiem śmiało ku niemu wzniesionem.

— Proszę, niech pani pójdzie za mną; — powiedział ostro.

Była mu posłuszną: zeszli z dwóch piętr i przemknęli się przez oddział mebli i dywanów, nie mówiąc ani słowa. Nakoniec otworzył na oścież drzwi do swego gabinetu i rzekł:

— Proszę wejść.

Wszedłszy, zamknął drzwi za sobą i przystąpił do biurka. Nowy gabinet dyrektorski był daleko zbytkowniejszy od dawnego; obicia z zielonego aksamitu zastąpiły repsowe; szafy biblioteczne inkrustowane słoniową kością, zajmowały cały jeden bok pokoju; ale na ścianach nie wisiało nic, prócz portretu pani Hédouin, młodej kobiety z piękną, spokojną twarzą, uśmiechającą się w swej złotej ramie.

Starając się nadać głosowi zimną surowość, rzekł Mouret nakoniec:

— Są rzeczy, których nie możemy tolerować... dobre prowadzenie się, jest u nas koniecznością.

Zatrzymał się, szukając słów, by nie wybuchnąć szalonym gniewem, który mu szarpał wnętrzności. Jakto, więc ona kocha tego chłopca, tego nędznego subiekta, pośmiewisko całego oddziału. Tego najmniej znaczącego i nieprzezornego chło-

paka woli niż jego, swojego pana! przecież dobrze widział, że pozwoliła mu trzymać się za rękę, którą okrywał pocałunkami.

— Byłem bardzo dobry dla pani, — ciągnął dalej, czyniąc nowe wysilenie, więc nie spodziewałem się być w ten sposób wynagrodzonym.

Od chwili wejścia, portret pani Hédouin pociągał oczy Dyonizy i pomimo silnego zmieszania; ciągle nim była zajęta. Każdy raz co wchodziła do dyrekcyi, wejrzenie jej krzyżowało się z oczami malowanej damy. Bała się jej trochę, chociaż czuła jej dobroć. Tym razem widziała w niej swą obronę.

— Rzeczywiście, zbłądziłam zatrzymując się dla gawędy i przepraszam pana za to. Ten młodzieniec jest z moich stron.

— Ja go wypędzę! — zawołał Mouret zdradzając gwałtownym wykrzykiem ogrom swego cierpienia.

Wzburzony, wychodząc z roli dyrektora upominającego sklepowę, która zawiniła przeciw regulaminowi, zaczął miotać niepohamowane słowa:

— Czy nie ma wstydu? jak może młoda dziewczyna oddawać się podobnej istocie!

Potem jej robił ostre wymówki o Hutina i innych, a to takiem potokiem słów, że się nie mogła bronić. Lecz on oczyści dom, wyrzuci ich za drzwi i kopnie nogą. Zamiast surowej przemowy, jaką obmyślił idąc za inspektorem Jouve, pozwolił sobie na brutalną scenę zazdrości.

— Tak, kochanków panny! Dawno mi o nich mówiono, a ja byłem głupi, żem nie wierzył... ja... jeden tylko!

Dyoniza dławiąc się łzami, słuchała odurzona tych okropnych wymówek. Z początku nic nie rozumiała. A więc bierze ją za jedną z tych upadłych istot... Po jednem z ostrych jego słów, skierowała się do drzwi milcząca. Gdy gestem chciał ją zatrzymać, powiedziała:

— Przepraszam pana, ale odejdę; jeżeli pan mię bierzesz za taką jak mówisz, ani chwili niechcę już pozostać w tym domu.

Lecz on poskoczył ku drzwiom.

— Broń się pani przynajmniej... Powiedz choć słówko!

Stała wyprostowana, milcząca, lodowata. Długo zarzucał ją pytaniami z wzrastającym niepokojem; a cicha godność tej dziewicy, wydała mu się raz jeszcze zręcznem wyrachowaniem kobiety, obeznanej z taktyką namiętności. Nie mogłaby odegrać roli, którąby go rzucała do jej nóg, więcej szarpanym podejrzeniem, silniej pragnącym, aby go przekonała, że to nie jest prawdą.

— A więc mówisz panna, że on jest z jednych stron z tobą... Możeście się tam już znali... Przysięgnij mi, że nic pomiędzy wami nie zaszło.

Ponieważ wciąż jeszcze trwała w milczeniu i chciała drzwi odemknąć, żeby wyjść, stracił do reszty głowę i uległ wybuchowi najwyższej boleści:

— Ja cię kocham, kocham cię!... Dla czego ci to sprawia rozkosz, że się tak męczę? Widzisz przecie, że dla mnie nic już nie istnieje, że ci ludzie o których mówię, obchodzą mię tylko przez ciebie, że na całym świecie ty jedna masz dla mnie wartość... Zdawało mi się, żeś zazdrosna, więc ci poświęciłem wszystkie me przyjemności. Powiedziano ci że mam kochanki, ale je teraz porzuciłem; prawie nie wychodzę z domu. Czyż nie okazałem, żeś ty milsza mi od tej damy? Czy nie zerwałem z nią, aby żyć dla ciebie jednej! Oczekuję podziękowania, trochę wdzięczności. Jeżeli się obawiasz, żebym do niej powrócił, możesz być spokojną; ona się mści, pomagając jednemu z naszych dawnych subiektów, by współzawodniczył z nami własnym magazynem. Powiedz, czy mam paść na kolana?

Oto do jakiego stanu doszedł: on, który nie wybaczał najmniejszego grzeszku swoim sklepowym i wyrzucał je na ulicę dla kaprysu, błagał jedną z nich, by się nie oddalała i nie opuszczała go w nieszczęściu. Zasłaniał sobą drzwi, gotów jej był wszystko wybaczyć, nawet być ślepym, jeśliby kłamać raczyła. Prawdę mówił; ogarniał go wstręt do dziewcząt branych z za kulis teatrzyków i po restauracyach nocnych; nie widywał się z Klarą; nie zajrzał ani razu do pani Desforges, gdzie obecnie królował Bouthemont, oczekujący otwarcia nowego magazynu, pod firmą *Aux Quatre Saisons*, która napełniała już gazety reklamami.

— Powiedz, czy mam uklęknąć? — powtarzał dławiąc się łzami.

Zatrzymała go poruszeniem ręki, nie mogąc dłużej ukrywać swego wzruszenia, silnie wzburzona tą jego męczącą namiętnością.

— Niepotrzebnie się pan trapisz—odpowiedziała nakoniec — przysięgam, że te szkaradne historye są niecnem kłamstwem... Ten biedny chłopiec, któregoś pan widział przed chwilą, jest tak niewinny, jak ja sama.

Wymówiła te słowa ze swoją sympatyczną szczerością i jasnem okiem patrzała wprost przed siebie.

— Dobrze, wierzę ci —szepnął — nie odprawię żadnego z kolegów twoich, kiedy ich bierzesz pod opiekę. Ale dla czego mnie odpychasz, jeśli nie kochasz nikogo?

Nagle zmieszała się i zawstydziła.

— Kochasz kogoś, nieprawda? — powiedział drżącym głosem. — O! możesz śmiało powiedzieć; nie mam żadnego prawa do twoich uczuć... kochasz?

Czerwieniła się i wyznanie serca biegło na usta; czuła, że niezdolna jest skłamać; zwłaszcza, że ją wzruszenie zdradzało i że wstręt do kłamstwa wyciskał, bądź co bądź, piętno prawdy na jej twarzy.

— Tak... — rzekła nakoniec cichym głosem — bądź pan łaskaw nie zatrzymywać mię dłużej, bo mi to przykrość sprawia.

Teraz na nią przyszła kolej cierpieć. Czyż nie dość tego było, że się musiała bronić od niego? Mogłaż się jeszcze bronić przeciw samej sobie, przeciw porywom tkliwości, które ją chwilami pozbawiały całej odwagi. Gdy do niej w ten sposób przemawiał, gdy widziała go tak wzruszonym i wzburzonym, sama nie wiedziała dla czego odmawia? Potem dopiero odnajdowała w głębi natury zdrowej dziewczyny, dumę i rozsądek, które ją podtrzymywały w dziewiczym oporze. Ona przez instynkt szczęścia, przez potrzebę spokojnego życia, opierała się, a nie przez posłuszeństwo idei o cnocie. Byłaby się rzuciła w objęcia tego człowieka, oddając mu ciało i serce, gdyby nie bunt, a nawet wstręt do niepewnego jutra. Kochanek wzbudzał w niej strach, ten szalony strach od którego blednie kobieta na widok zbliżającego się mężczyzny, jako samca.

Mouret wyraził jednak gestem ponurą rozpacz, bo jej nie rozumiał. Zwrócił się do biurka, gdzie zaczął przerzucać papiery, ale natychmiast zaprzestał tego, mówiąc:

— Nie zatrzymuję pani dłużej; nie mogę cię zmuszać gwałtem do pozostania.

— Ale ja sobie nie życzę oddalić się—odpowiedziała z uśmiechem.—Jeżeli pan wierzysz w moją uczciwość, to zostaję. Trzeba zawsze wierzyć, że są kobiety uczciwe; jest ich wiele, zapewniam pana

Oczy Dyonizy mimowolnie skierowały się ku portretowi pani Hédouin, tej damy tak pięknej i cnotliwej, której krew przyniosła szczęście domowi, jak mówiono. Mouret śledził wzrok dziewczyny ze drżeniem; zdawało mu się bowiem, że słyszy nieboszczkę mówiącą te słowa, które nieraz powtarzała. Było to jakby jej wskrzeszenie; odnajdywał w Dyonizie rozsądek i równowagę tej, którą utracił: nawet jej głos słodki, skąpy w czcze słowa. Uderzyło go to i stał się jeszcze smutniejszy.

— Wiesz pani, że do ciebie należę — szepnął, kończąc rozmowę.—Rób ze mną, co zechcesz.

Wówczas odezwała się wesoło:

— Bardzo dobrze! Zdania kobiety, choćby najmniej znaczącej, zawsze warto wysłuchać, jeżeli ma choć trochę inteligencyi. Zrobię z pana zacnego człowieka, bądź tego pewien, jeżeli się oddasz w moje ręce.

Żartowała z tą prostotą, która jej nadawała tyle wdzięku. On także uśmiechnął się z lekka i odprowadził ją do drzwi, jakby wielką damę.

Nazajutrz Dyoniza została zamianowaną starszą sklepową. Dyrekcya rozdzieliła oddział sukien i kostiumów, wytwarzając specyalnie dla niej oddział ubrań dla dzieci, urządzony obok kantoru konfekcyj. Od czasu wydalenia syna, pani Aurelia truchlała, widząc coraz większą oziębłość panów dyrektorów dla siebie i z dnia na dzień rosnącą potęgę Dyonizy. Czy jej nie po-

święcą czasem dla tej dziewczyny pod jakimkolwiek pozorem? Imperatorska jej twarz, obrzmiała i tłusta, zdawała się teraz chudszą, skutkiem hańby, jaka spadła na dynastyę Lhomme'ów. — Co wieczór odchodziła z mężem pod rękę, jak gdyby ich zbliżyło doznane nieszczęście; czuła bowiem, że ono nastąpiło skutkiem rozprzężenia się rodzinnych ich związków. Biedny jej stary mąż, bardziej jeszcze strapiony od niej, chorobliwą trwogą zdjęty, by go także nie posądzono o kradzież, po dwakroć liczył hałaśliwie dzienny zysk, dokazując prawdziwych cudów swem jedynem ramieniem. To też pani Aurelia, ujrzawszy Dyonizę *Starszą* w oddziale ubrań dla dzieci, doznała tak żywej radości, że zaczęła jej publicznie okazywać najsilniejszą sympatyę. Pięknie to było, że jej nie pozbawiła miejsca. Zarzucała ją oznakami przyjaźni; traktowała ją odtąd jak równą sobie; chodziła do jej oddziału na gawędkę z taką paradą, jak królowa matka, oddająca wizytę młodej królowej.

Dyoniza obecnie była u szczytu. Tytuł Starszej obalił dokoła niej resztki oporu. Chociaż nieustały jeszcze plotki skutkiem swędzenia języka, które się teraz dotkliwie czuć daje w każdem stowarzyszeniu mężczyzn i kobiet, już się jej kłaniano bardzo nizko, aż do ziemi. Małgorzata, zostawszy drugą sklepową w konfekcyach, nie mogła się jej dosyć nachwalić; nawet Klara, nurtowana potajemną czcią dla tak wielkiego powodze-

nia, do którego nie poczuwała się zdolną, uchyliła głowy. Lecz zwycięztwo Dyonizy było jeszcze zupełniejsze nad panami: nad Jouvem, który teraz inaczej nie przemawiał do niej jak tylko zgięty we dwoje; nad Hutinem przestraszonym i czującym grunt chwiejący się pod sobą; nakoniec nad Bourdonclem zupełnie bezsilnym obecnie. — Gdy ją ujrzał ten ostatni, wychodzącą z gabinetu z uśmiechem i spokojem na twarzy, gdy nazajutrz dyrektor wymógł na radzie wytworzenie nowego kantoru, uchylił czoła, zwalczony świętą grozą kobiety. Zawsze ustępował przed pomysłami Moureta, uznając go za swego mistrza, pomimo pomyłek geniuszu i niedorzecznych pociągów serca. Tym razem jednak kobieta silniejszą się okazała i mógł tylko oczekiwać, że jego także nie minie klęska.

Ale Dyonizy tryumf był spokojny i piękny. Była wzruszona temi oznakami poważania: chciała w nich nawet widzieć sympatyę dla jej nieudolnego debiutu i nagrodę za wytrwałość. Z radosnym uśmiechem przyjmowała najdrobniejsze oznaki przyjaźni. W niektórych zjednało jej to rzeczywistą życzliwość, iż tak była słodką i uprzejmą, zawsze gotową oddać serce. Tylko do Klary czuła nieprzezwyciężony wstręt, dowiedziawszy się, że dla zabawki, jak to sama oświadczyła żartem, sprowadziła pewnego wieczoru do siebie Colombana; chłopiec ten porwany zadowoloną nakoniec namiętnością, nie nocował teraz

w domu, a smutna Genowefa dogorywała. Mówiono o tem w Magazynie Nowości, znajdując, że to bardzo zabawna historya.

Lecz ten jedyny jej smutek po za domowy, nie zakłócał jednostajnego jej usposobienia. Trzeba ją było widzieć w jej oddziale, pośród gromady malców różnego wieku. Ubóstwiała dzieci, więc nie można było jej lepiej umieścić. Czasami zbierało się tam do pięćdziesięciu dziewczątek i tyluż chłopaków, cała pensya hałaśliwa i łechtana żądzą rodzącej się kokieteryi. Matki traciły głowy; ona zaś, jak zwykle, pojednawcza, uśmiechnięta, rozsadzała małą rzeszę szeregiem na krzesłach.— Skoro w tej gromadce znajdowała się jaka różowa dzieweczka, której ładna buzia ją pociągała sama jej posługując, przynosiła sukienkę i kładła na pulchne ramiona, z tkliwą ostrożnością starszej siostry. Rozlegały się dźwięczne śmiechy i okrzyki zachwytu pośród gderliwych napomnień. Czasami większa, lat dziewięciu lub dziesięciu dziewczynka, jako dorosła już osoba, przywdziawszy sukienny paltocik, przeglądała się w lustrze, obracając się na wszystkie strony poważnie i z oczkami błyszczącemi chęcią podobania się. — Kontuary były zarzucone ubiorkami: były tam sukienki z płótna azyatyckiego różowe lub niebieskie, dla dzieci od roku do lat dwóch, kostiumy marynarskie, fałdowane spódniczki z bluzką ubieraną perkalem, kostiumy à la Louis XV, płaszczyki, żakietki, mieszanina ubrań wązkich,

przejmujących cały wdzięk dziecięcy, coś w guście garderoby wielkich lalek, wyjętych z szaf i oddanych na rabunek. Dyoniza miała zawsze jakie łakocie w kieszeni, aby koić płacz bębnów zrozpaczonych, że nie mogą zabrać czerwonych majteczek; żyła pomiędzy tą dziatwą, jakby we własnej rodzinie, sama odmłodzona niewinnością i świeżością, wśród jakich ciągle się obracała.

Zdarzało się jej teraz miewać długie i poufne rozmowy z Mouretem. Ile razy udawała się do dyrekcyi dla wysłuchania rozkazów lub dania ze swej strony jakich objaśnień, zatrzymywał ją na pogadankę i lubił jej słuchać. Ona śmiejąc się mówiła, że robi zeń zacnego człowieka. W zastanawiającej się i przezornej głowie normandki, roiły się przeróżne projekta, oraz ideje o nowym handlu, które już odważała się objawiać u Robineau, a w części i owego pięknego wieczoru, podczas przechadzki w Tuilierach. Nie mogła zajmować się czemś, patrzeć na wykonawcę jakiej roboty, żeby nie zapragnąć pewnego ładu i wydoskonalenia mechanizmu. I tak: od chwili wejścia do Magazynu Nowości, dręczył ją nadewszystko nieszczęśliwy los subiektów; nagłe wydalanie ich oburzało ją i wydawało jej się brzydkie, niesprawiedliwe i szkodliwe dla wszystkich, tak dla dyrekcyi jak i dla pracowników. Własne cierpienia przy debiucie żywo, jej tkwiły jeszcze w pamięci: litość ją przejmowała na widok każdej nowoprzybyłej, widząc jak z nogami pokaleczo-

nemi, z oczami nabrzmiałemi od łez, chodzi nieszczęsna w swej jedwabnej sukni, pośród złośliwych naigrawań się dawniejszych dziewcząt. To psie życie, w najlepszych nawet zradzało złość i rozpoczynały się smutne ich koleje: wszystkie wyniszczone swem rzemiosłem, nie mając lat czterdziestu, znikały niewiadomo gdzie, niektóre marły wśród pracy na suchoty lub anemię, ze znużenia i złego powietrza, inne stawały się brukowemi włóczęgami; najszczęśliwsze zaś wychodziły za mąż i zagrzebywały się w lichych sklepikach na prowincyi. Jest-że to po ludzku i sprawiedliwie, żeby wielkie magazyny co rok pochłaniały tyle istot? Broniła sprawy tych kółek maszyny, nie sentymentalnie, lecz argumentami opartemi na własnym interesie pryncypałów. Kto chce mieć maszynę trwałą, używa dobrego żelaza; jeżeli się zaś to żelazo łamie, lub oni sami je kruszą, to następuje przerwa w robocie, częste koszta naprawy i cały szereg następstw zmarnowanej siły. Czasami się ożywiała marzeniem o olbrzymim i idealnym bazarze, falansterze handlu, w którym każdy miałby pewien udział w zyskach, odpowiedni do swych zasług, z jutrem zabezpieczonem, przez zawarcie umowy. Wówczas Mouret, pomimo swej gorączki, rozweselał się, oskarżał ją o socyalizm i wprowadzał w zakłopotanie wykazując trudności; mówiła bowiem w prostocie ducha, śmiało licząc na przyszłość, gdy ją ude-

rzyła groźna przepaść na końcu tych teoryj, czerpanych z tkliwego serca. Jednakże był zachwiany i pociągnięty tym młodym głosem, drżącym jeszcze od przecierpianych nieszczęść, lecz zarazem tak głęboko przekonanym, gdy wskazywała zmiany konieczne dla utrwalenie magazynu. Słuchał, obracając w żart jej mowę i dowodził, że los subiektów poprawił się zwolna, że zamiast ryczałtowego wydalenia, udzielają się teraz urlopy na martwe pory roku, że nakoniec ma się urządzić kasa wzajemnej pomocy dla zabezpieczenia pracowników w czasie przymusowego bezrobocia i zapewnienia im emerytury,—a to wszystko jest zarodkiem rozległych stowarzyszeń robotników XX wieku.

Zresztą Dyoniza nie poprzestawała na samem gojeniu ran, które ją niegdyś krwawiły; delikatne pomysły kobiece podszepnięte Mouretowi, czarowały klientelę. Sprawiła też ogromną radość Lhomme'owi, popierając odwieczny jego projekt utworzenia orkiestry z miejscowego personelu. We trzy miesiące miał on pod swą dyrekcyą stu dwudziestu muzyków. Doczekał się więc urzeczywistnienia marzeń swoich. Mouret wydał bal i koncert, żeby się pochwalić muzyką Magazynu Nowości przed klientelą i przed całym światem. Zaczęto o tem pisać w dziennikach; sam Bourdoncle, zżymający się na te nowości, zmuszony był uchylić czoła przed tą ogromną reklamą. Na-

stępnie urządzono salę do zabawy dla subiektów: dwa bilardy, stoły do *trić-trac* i szachów. Odbywały się odczyty wieczorne, wykłady języków: angielskiego i niemieckiego, gramatyki, arytmetyki i geografii, a z czasem wprowadzoną została nauka konnej jazdy i fechtunku. Bibliotekę złożoną z dziesięciu tysięcy tomów, oddano do użytku personelu. Był doktór miejscowy i leczył dar mo; były łazienki, bufety i salon fryzyerski. — Wszystkie potrzeby życia można tam było zaspakajać, nie szukając ich na zewnątrz. Miano naukę, stół, nocleg, ubranie. Magazyn Nowości wystarczał sobie, tak pod względem przyjemności jakoteż i potrzeb. Pośród wielkiego Paryża zajętego swym zgiełkiem, utworzyło się to miasto pracy i rozrastało się szeroko na gnojowisku starych ulic, przystępnych nareszcie dla blasków słonecznych.

Odtąd zaczęto inaczej sądzić Dyonizę. Ponieważ zwyciężony Bourdoncle z rozpaczą ciągle powtarzał w poufnych kółkach, że dałby za to wiele, gdyby ją mógł rzucić w objęcia Moureta, uwierzono mu, że się wciąż opiera i że jej nieograniczona władza ztąd właśnie wypływa. Od tej chwili stała się popularną. Widzieli wszyscy, że wszelkie ulgi jej zawdzięczają i podziwiano jej wolę niezłomną. Ona jedna umiała trzymać ostro pryncypała, pomścić całą płeć swoją i zniewolić go do czynów, zamiast dawnych obietnic. Nako-

niec zjawiła się ta, która każe szanować pracę biedaków! Skoro przechodziła przez kantory, ze swą główką mądrą i zaciętą, z miną tkliwą a niezwyciężoną, subiekci uśmiechali się do niej, byli z niej dumni, chętnieby ją pokazywali tłumom. Dyoniza szczęśliwa, chętnie dawała się porywać tej rosnącej ku sobie sympatyi. Czy to podobna, mój Boże! Widziała siebie wchodzącą tam w lichej sukience, przestraszoną, błąkającą się pośród kółek tej strasznej maszyny; tak długo żywiła uczucie, że jest niczem, zaledwie ziarnkiem prosa pod żarnami, mielącemi ludność całą; a dziś stała się duszą tego świata; ona jedna coś znaczy; jednem słowem może przyspieszyć lub zwolnić ruch tego kolosu, u nóg jej spoczywającego; ale ona postępowała z prostotą i bez wyrachowania, oddziaływając tylko wdziękiem i łagodnością. Niespodzianie zdobyta władza wprawiała ją czasem w pełne trwogi zdziwienie: dla czego oni ulegają? nie jest ładną, ani też szkodliwą; ale zaraz potem uśmiechała się z uspokojonem sercem, mając w sobie tylko dobroć i rozsądek, oraz zamiłowanie prawdy i logiki, które całą jej siłę stanowiły.

Jedną z najwyższych uciech dla Dyonizy było wśród jej pomyślności to, że się mogła na co przydać Paulinie, która z powodu znajdowania się w poważnym stanie, truchlała; dwie sklepowe bowiem odprawiono przed kilkunastu dniami w siódmym mie-

siącu ciąży. Dyrekcya nie tolerowała tych wypadków; macierzyństwo było skasowane, jako rzecz uciążliwa i nieprzyzwoita. W ostateczności przyzwalano na małżeństwo, ale nie wolno było mieć dzieci. Chociaż mąż Pauliny należał do personelu magazynu zarówno jak ona, lękała się, że pomimo to nie pozostawią jej w kantorze. Ażeby opóźnić, o ile się da grożące jej wydalenie, ściskała się aż do mdłości, postarawiając jak najdłużej ukrywać swe nadzieje. Jedna z wydalonych sklepowych, urodziła właśnie nieżywe dziecko w skutek ściskania się i jej samej groziło niebezpieczeństwo. Tymczasem Bourdoncle wpatrywał się w blednącą cerę Pauliny i dostrzegał sztywność w chodzeniu. Pewnego poranku stał przy niej w oddziale wypraw ślubnych, kiedy chłopiec sklepowy, podnosząc jakiś pakiet trącił ją tak silnie, że z krzykiem obiema rękami chwyciła się za brzuch. Natychmiast uprowadził ją, wybadał i wniósł na sesyę kwestyę wydalenia jej pod pozorem, że potrzebuje świeżego wiejskiego powietrza; gdyż historya ta rozgłosiłaby się natychmiast i wywarłaby zgubny wpływ na opinię publiczną, gdyby nastąpiło poronienie, jak to się już stało zeszłego roku w oddziale wyprawek dziecięcych. Mouret, który nie był na sesyi, mógł dopiero wieczorem odezwać się ze swem zdaniem, ale Dyoniza miała czas wdać się w tę sprawę. — Zalecił więc milczeć Bourdoncle'owi dla dobra

Magazynu. Czyż chciano zniechęcić matki i obrazić młode położnice z pomiędzy klientek? Następnie obwieszczono polecenie, że każda zamężna sklepowa, będąca przy nadziei, zostanie umieszczoną u specyalnej akuszerki, gdy obecność jej w kantorze, zacznie obrażać dobre obyczaje.

Skoro Dyoniza zeszła nazajutrz do infirmeryi, aby odwiedzić Paulinę, zmuszoną położyć się do łóżka w skutek owego uderzenia, ucałowała ją serdecznie w oba policzki.

— Jakaś ty dobra! Gdyby nie ty, wyrzuconoby mnie za drzwi. Bądź spokojna, doktór zapewnia, że nic złego nie nastąpi.

Baugé, wyrwawszy się z oddziału, stał po drugiej stronie łóżka i także bełkotał dziękczynne wyrazy, zmieszany obecnością Dyonizy, którą obecnie uważał za osobę znakomitą, stojącą u szczytu. Niechnoby usłyszał jaką plotkę na nią, dobrzeby zamalował usta zazdrośnikom! Ale Paulina odprawiła go, wzruszając przyjaźnie ramionami:

— Mój biedaku, pleciesz same głupstwa... zostaw nas, bo mamy z sobą o czem pomówić.

Infirmerya mieściła się w długim jasnym pokoju, gdzie stało rzędem dwanaście łóżek z białemi kotarami. Leczono tam miejscowych subiektów, gdy się nie chcieli przenieść do kogoś z rodziny. Lecz tego dnia jedna tylko Paulina leżała, nieopodal od wielkiego okna, wychodzącego na ulicę

Neuve-Saint Augustin. Rozpoczęły się czułe zwierzenia, tkliwe słowa i szepty, pośród tych biało zasłanych łóżek, w tej atmosferze cichej i napełnionej lekkim zapachem lawendy.

— Więc on robi, pomimo to wszystko, co tylko zechcesz? Jakaś ty niemiłosierna, kiedy mu sprawiasz tyle cierpień! Powiedz mi, skoro się odważyłam naruszyć ten przedmiot, czy ty go nienawidzisz?

Trzymała Dyonizę za rękę, która siedziała przy łóżku, oparta o poduszkę i opanowana nagłem wzruszeniem, zarumieniona, ulegając chwilowej słabości po tem niespodziewanem pytaniu. Tajemnica wyrwała się jej z piersi: ukrywszy głowę w poduszkę, wyszeptała:

— Ja go kocham!

Paulina osłupiała.

— Jakto! Kochasz go? a więc oddaj mu się...

Dyoniza z twarzą ciągle ukrytą w poduszkach, przecząco potrząsnęła głową:

— Mówię ciągle „nie”, właśnie dla tego, że go kocham, nie zdając sobie sprawy ze swego postępowania. Zapewne że to śmieszne, ale tak czuję; nie mogę się przerobić.

Zdziwienie przyjaciółki wzrastało, nakoniec spytała:

— A więc to wszystko do tego zmierza, żeby się z tobą ożenił?

Dyoniza zerwała się nagle, nawskróś wzburzona.

— On miałby się ze mną ożenić! O, nie! nigdy! przysięgam ci, iż nigdym tego nie zapragnęła! Nie, nigdy podobne wyrachowanie nie przeszło mi przez głowę, a wiesz dobrze, jak się brzydzę kłamstwem!

— Wiesz co, moja kochana—odpowiedziała łagodnie Paulina—gdyby ci szło o to, żeby się z tobą ożenił, nie mogłabyś się lepiej wziąść do rzeczy... To musi mieć swój koniec, a nie ma innego jak tylko małżeństwo, kiedy odrzucasz tamten drugi sposób. Muszę cię uprzedzić, że wszyscy tak myślą: tak, są przekonani, że się drożysz dla tego, aby z nim stanąć przed merem. Jaka też z ciebie osobliwa kobieta!

Musiała potem pocieszać Dyonizę, która padła znowu na poduszki, płacząc i powtarzając, że się oddali, kiedy ją ciągle prześladują historyami, które jej nawet przez myśl nie przechodzą. Wprawdzie jak mężczyzna kocha kobietę, to się powinien z nią żenić, ale ona nic nie wymaga, na nic nie rachuje, błaga tylko o to, by jej dano żyć w spokoju, pośród swych trosk i radości, jak wszyscy na świecie; ona się musi oddalić.

W tej samej chwili Mouret na dole obchodził sale. Chciał on się odurzyć, zwiedzając jeszcze raz roboty. Upłynęło kilka miesięcy; obecnie fasada wyraźnie zarysowała swe monumentalne linie po

za ścianą z desek zasłaniającą ją przed publicznością. Cała armia dekoratorów pracowała nad jej wykończeniem: rzeźbiarz, emalierzy fajansowi, mozaiści, złocono centralną grupę po nad drzwiami; jednocześnie na szczycie gmachu przytwierdzano piedestale, na których miały być ustawione posągi, wyobrażające przemysłowe miasta Francyi. Od rana do wieczora, wzdłuż ulicy Dziesiątego Grudnia, od niedawna otwartej, stał tłum gapiów, z głową do góry nie widząc nic, lecz przejęty cudami, jakie opowiadano o tej fasadzie, której odkrycie miało poruszyć cały Paryż. Otóż na tym to warsztacie, wśród gorączkowej pracy, pomiędzy artystami, wykończającymi urzeczywistnienie jego marzeń, rozpoczęte przez mularzy, Mouret uczuł jeszcze większą czczość swojej fortuny. Myśl o Dyonizie ciągle ściskała mu pierś; uciekał ztamtąd, nie mógł objawić ani jednem słowem swego zadowolenia, bał się zdradzić ze łzami i pozostawił za sobą niesmak do tryumfu. Ta fasada, która stanęła nakoniec, wydawała mu się nikłą, podobną do ściany domków z piasku, budowanych przez dzieci; ale gdyby się nawet ciągnęła od jednego przedmieścia Paryża do drugiego, gdyby sięgała aż do gwiazd, nie zapełniłaby nigdy próżni jego serca, bo tylko jedno „tak", wyrzeczone przez to dziewczę, mogło tego dokonać.

Kiedy Mouret wszedł nakoniec do swego gabinetu, uczuł że go dławią łzy powstrzymywane.

Czegoż ona chce? Już nie śmiał jej ofiarować pieniędzy. Zaczynała się zradzać zamglona myśl o małżeństwie, pomimo wewnętrznego buntu młodego wdowca. Czując się już zupełnie pozbawionym sił, zalał się łzami. Bardzo był nieszczęśliwy.

ROZDZIAŁ II.

Pewnego poranku, w miesiącu listopadzie, kiedy Dyoniza wydawała pierwsze rozkazy w swoim oddziale, przyszła służąca od państwa Baudu powiedzieć jej, że panna Genowefa bardzo źle spędziła noc i chce się natychmiast z nią widzieć, że od niejakiego czasu coraz bardziej słabła i nakoniec przedwczoraj musiała położyć się do łóżka.

— Powiedz, że zaraz przyjdę; — odpowiedziała Dyoniza, zdjęta niepokojem.

Nagłe zniknięcie Colombana było ciosem, który dobił Genowefę. Z początku na żart pociągnięty przez Klarę, zaczął nocować za domem; potem zaś poddając się żądzom właściwym chłopcom skrytym i nieskalanym jeszcze, stał się posłusznym psem tej dziewczyny i nakoniec pewnego poniedziałku zamiast przyjść do domu, napisał po prostu list pożegnalny do pryncypała, w tak mozolnie ułożonych słowach, jakby go kreślił na chwilę przed dokonaniem samobójstwa. Może w głębi tego postępku natchnionego przez namię-

tność, znalazłoby się chytre wyrachowanie chłopca, pragnącego zerwać wstrętne dla siebie małżeństwo. Ponieważ Baudu znajdował się w tak opłakanym stanie, jak narzeczona jego, była to właściwa chwila do zakończenia sprawy, choćby szalonym wybrykiem. Wszyscy uważali go jednakże za nieszczęśliwą ofiarę miłości.

Dyoniza, przyszedłszy do Vieil Elbeuf, zastała samą tylko panią Baudu siedzącą nieruchomo przy kasie, ze swą bladą i wychudłą twarzą, pożeraną przez anemię; strzegła ona pustek i ciszy w sklepie. Już nie mieli subiekta, sługa okurzała pułki, a był projekt zastąpić ją nawet przez prostą najemnicę. Ciemność i chłód spadały z sufitu, całe godziny mijały, a żadna klientka nie zjawiała się, towary nieokurzane, coraz więcej przesiąkały saletrą ścian.

— Co się stało? — zapytała żywo Dyoniza. Czy Genowefie grozi niebezpieczeństwo?

Pani Baudu nie zaraz odpowiedziała; oczy jej napełniły się łzami .. nakoniec wyjąkała:

— Nie wiem, nic mi nie mówią... Ach! już po wszystkiem... już po wszystkiem...

Z wilgotnemi oczami spozierała dokoła ciemnego sklepu, jak gdyby czuła, że córka i sklep skończą życie jednocześnie. Owe siedmdziesiąt tysięcy franków, otrzymane ze sprzedaży posiadłości w Rambouillet, w ciągu niecałych dwu lat, padły ofiarą konkurencyi. Dla podtrzymania walki z *Bonheur des Dames*, które zaopatrzyło się

w sukno męzkie, aksamity myśliwskie i liberye, sukiennik poniósł znaczne koszta. Nakoniec zabiły go ostatecznie baje i flanele rywala, w tak wielkim doborze, jakiego niewidziano jeszcze na rynku. Powoli długi wzrastały; wreszcie chwycił się ostatecznego środka: zahypotekował dom na ulicy Michodière, gdzie stary Finet, przodek jego, założył ten handel. Obecnie dni jego były policzone, zniszczenie dochodziło do kresu, nawet sufity musiały runąć i rozsypać się w proch, jak budowla cicha i stara stoczona robactwem, obalona przez wiatr.

— Ojciec jest na górze; — rzekła pani Baudu złamanym głosem. Siedzimy przy niej naprzemiany przez dwie godziny; trzeba żeby tu ktoś pilnował; tylko przez ostrożność, bo doprawdy...

Resztę dopowiedziała gestem. Zamknęliby okiennice, gdyby nie to, że przez dumę chcieli, by ich widziano jeszcze na nogach, w dzielnicy.

— A więc pójdę tam; — powiedziała Dyoniza ze ściśniętem sercem na widok tej zrezygnowanej rozpaczy, jaką zionęły nawet postawy sukna.

— Idź, idź, jaknajprędzej; moja córka... ona czeka na ciebie, całą noc prosiła, żebyś przyszła; ma coś do powiedzenia.

Lecz właśnie w tej chwili Baudu zszedł na dół. Od wzburzonej żółci, zzieleniała mu żółta twarz, oczy krwią zaszłe błyszczały. Stąpał jeszcze po cichu, jakby w pokoju chorej i szeptał, jak gdyby mógł być słyszanym na górze:

— Usnęła.

Nie czując nóg pod sobą, usiadł na krześle i bezwiednym ruchem obcierał czoło, zadyszany jak człowiek, który tylko co porzucił ciężką pracę. Zaległo milczenie... Nakoniec przemówił do Dyonizy:

— Zobaczysz ją zaraz... gdy śpi zdaje nam się, że jest uleczoną.

Znowu nastało milczenie. Ojciec i matka spoglądali na siebie. Poczem cichym głosem zaczął nanowo przeżuwać swoje zgryzoty, niewymieniając nikogo, mówiąc jakby sam do siebie.

— Z nożem na gardle, nie byłbym wierzył temu! On był ostatnim, wychowałem go jak syna. Gdyby mi kto był powiedział: „Jego ci także zabiorą, zobaczysz, że fiknie koziołka!” rzekłbym: „Bogaby chyba nie było!” Tymczasem fiknął koziołka!... Ach! niegodziwiec! tak był doskonale obeznany z prawdziwym handlem, tak rozumiał moje ideje! Dla takiej wystrojonej małpki, dla manekina wystawianego w oknach dwuznacznych zakładów! Doprawdy można oszaleć od tego!

Potrząsał głową i zamglone oczy spuścił na wilgotne płyty podłogi, zużytej nogami kilku pokoleń klientek.

— Wiecie co? — ciągnął dalej zniżonym głosem — chwilami czuję się najwinniejszym nieszczęścia, jakie nas spotyka. Tak, to moja wina, że córka nasza leży tam na górze, trawiona go-

rączką. Czym niepowinien był połączyć ich odrazu, zamiast się upierać przez niedorzeczną pychę, by im przekazać handel w kwitnącym stanie? Teraz miałaby swego ukochanego i może młodość ich dokazałaby cudu, na jaki ja zdobyć się nie mogłem. Ale ze mnie stary waryat, nic nie rozumiałem; niewiedziałem, że można chorować od podobnych rzeczy... Co prawda, był to nadzwyczajny chłopiec; zręczny do sprzedaży, uczciwy i prostych obyczajów, zamiłowany w porządku; słowem, był moim uczniem.

Podnosił głowę do góry, broniąc jeszcze swych idej w tym subiekcie, który go zdradził. Dyoniza nie mogąc słuchać, by oskarżał siebie, opowiedziała mu wszystko z oczami pełnemi łez, wzruszona pokorą człowieka, który niegdyś panował tam jako władca gderliwy i nieograniczony.

— Nieuniewinniaj go, stryju, proszę cię. On nigdy nie kochał Genowefy i byłby prędzej jeszcze uciekł, gdybyś chciał ślub przyśpieszyć. Mówiłam z nim sama; wiedział doskonale, że moja biedna kuzynka przez niego cierpi, a przecież, jak widzisz, bynajmniej mu to nie przeszkodziło do ucieczki. Spytaj się ciotki.

Nie otwierając ust, pani Baudu, potwierdziła zdanie Dyonizy poruszeniem głowy. Wówczas sukiennik zbladł jeszcze bardziej i łzy do reszty zamgliły mu oczy.

— To musi być we krwi; ojciec jego umarł przeszłego lata wskutek romansu z jakąś awanturnicą.

Machinalnie zaczął się rozglądać po ciemnych kątach, mierząc okiem puste kontuary i zapełnione półki, poczem wpatrzył się w żonę, która wciąż siedziała wyprostowana przy kasie, w daremnem oczekiwaniu sprzeniewierzającej się klienteli.

— To już i koniec, — powiedział. Zabili nasz handel, a jedna z ich łotrzyc, zabija nam córkę.

Nikt się nie odważał przemówić. Turkot powozów wstrząsający chwilami podłogą, przelatywał jak odgłos chóru bębnów pogrzebowych w wspartem przez nizkie sufity powietrzu. Pośród grobowego smutku, jaki zwykł panować w starych, konających sklepach, słychać było głuche uderzenia, odzywające się gdzieś w domu. To Genowefa, obudziwszy się, biła w ścianę kijem, pozostawionym przy niej.

— Chodźmy prędzej; — powiedział Baudu, powstając szybko. Staraj się uśmiechać; trzeba przed nią wszystko zataić.

Wchodząc na wschody, mocno obcierał oczy, żeby niedostrzegła śladu łez. Jak tylko otworzył drzwi na pierwszem piętrze, posłyszeli słaby i zrozpaczony głos, wołający:

— Ja nie chcę być samą! Nie zostawiajcie mnie samej! Boję się być samą!

Ujrzawszy Dyonizę, uspokoiła się i uśmiech radośny rozjaśnił jej twarz.

— Jesteś nakoniec!... Jakżem cię wyglądała od wczoraj! Zdawało mi się już, że ty mnie także opuszczasz.

Litość ogarniała patrząc na jej pokoik, z wychodzącem na podwórko oknem, przez które wpadało bladawe światło. Z początku rodzice umieścili chorą we własnym pokoju, od ulicy; lecz widok Magazynu Nowości będącego naprzeciwko, tak ją wzburzał, że musieli ją przenieść nanowo do jej pokoju. Leżała tak nędzna, że pod kołdrą nie było widać kształtu i bytności ludzkiego ciała... Jej chude ręce, spalone suchotniczą gorączką, ciągle się poruszały, bezwiednie czegoś szukając. Ciężkie zaś od namiętności czarne włosy, zdawały się jeszcze gęstsze i jakby pochłaniające swą żywotnością biedną jej twarz, nacechowaną dogorywaniem ostatniej latorośli rodziny, która długo żyła w tej piwnicy starego handlu paryzkiego.

Dyoniza z sercem zbolałem patrzyła na nią, bojąc się przemówić; by się nie rozpłakała: — nakoniec wyrzekła:

— Żądałaś mię zobaczyć, więc przyszłam natychmiast; czy mogłabym ci w czem posłużyć?

Genowefa, krótko oddychając, z rękami ciągle szukającemi czegóś w składkach kołdry, nie spuszczała z niej oczu:

— Nie, dziękuję; nic mi nie trzeba. Chciałam cię tylko uściskać.

Oczy jej napełniły się łzami, wtedy Dyoniza pochyliła się żywo i ucałowała jej twarz, drżąc od gorączki buchającej od zapadłych jej policzków. Lecz chora porwała ją i pociągnęła ku so-

bie, trzymając w rozpaczliwym uścisku. Potem oczy jej skierowały się na ojcu.

— Czy chcesz, żebym została? — powtórzyła Dyoniza.—Może ci czego potrzeba?

— Nie, nie.

Wzrok Genowefy uporczywie zwracał się do ojca, który stał osłupiały i dławiący się łzami. Nakoniec zrozumiał i oddalił się, nie przemówiwszy słowa i słychać było ciężkie jego stąpanie po wschodach.

— Powiedz mi, wszak on jest z tą kobietą? — zapytała natychmiast chora, chwytając za rękę kuzynkę, której kazała usiąść na brzegu łóżka.— Tak, pragnęłam cię zobaczyć, bo ty jedna możesz mi to powiedzieć. Wszak prawda, oni razem mieszkają?

Dyoniza zdumiona tem niespodziewanem pytaniem, jąkając się, zmuszoną była wyznać prawdę, powtórzyć plotki, obiegające po magazynie. Klara znudzona tym chłopcem, który jej spadł na kark, zamknęła przed nim drzwi; on zaś zrozpaczony, chodził za nią krok w krok, starał się wyprosić widzenie od czasu do czasu, z pokorą bitego psa. Utrzymywano, że ma się umieścić w Luwrze.

— Jeżeli go tak kochasz, może powrócić jeszcze—szeptała Dyoniza, chcąc by zgasła kołysana tą ostatnią nadzieją.—Wyzdrowiej tylko prędzej; on przyzna się do winy i ożeni sią z tobą.

Genowefa przerwała jej mowę. Słuchała ona całą swą istotą z niemą namiętnością, która ją podtrzymywała; lecz zaraz potem osłabła zupełnie.

— Daj pokój; wiem, że się już wszystko skończyło. Milczę dlatego, że słyszę, jak ojciec płacze i nie chcę, by mama rozchorowała się gorzej. Ale umieram, jak widzisz—i jeżelim cię przywoływała w nocy, to z obawy, że przede dniem skończę życie... O, cóż to za męczarnie myśleć, że on nawet nie jest szczęśliwy!

Dyoniza z oburzeniem, zaczęła ją przekonywać, że jej stan nie jest tak niebezpieczny, jak sobie wyobraża; lecz ona znowu nie dała jej mówić i odsłaniając nagle kołdrę, z dziewiczą skromnością, która nie ma już nic do utajenia wobec śmierci, do połowy odkryta, szepnęła:

— Spojrzyj na mnie!... nie jest że to koniec?

Drżąca, podniosła się Dyoniza z krawędzi łóżka, jak gdyby tchnieniem lękała się rozwiać jej wychudłą nagość. Było to zupełne wyniszczenie ciała narzeczonej, zużytego oczekiwaniem, powrót do pierwszych lat wątłego dzieciństwa. Powoli Genowefa okryła się, powtarzając:

— Jak widzisz, nie jestem już kobietą. Było by to źle z mej strony, gdybym go jeszcze pragnęła.

Obie umilkły i patrzyły znowu na siebie, nie mogąc się zdobyć na słowa. Genowefa pierwsza przemówiła:

— Nie siedź tu dłużej; pewno czekają cię zajęcia. Dziękuję ci; dręczyła mię chęć dowiedzenia się, a teraz jestem zadowolona. Jeżeli go zobaczysz, powiedz, że mu wybaczam. Żegnam cię, moja droga Dyonizo, uściśnij mię mocno; to już ostatni raz.

Dyoniza ściskała ją, wciąż przecząc:

— Nie, nie; nie nabijaj sobie głowy; trzeba ci tylko starannej kuracyi i nic więcej.

Ale chora uporczywie kręciła przecząco głową, uśmiechała się, była pewną swego, a gdy nakoniec kuzynka skierowała się ku drzwiom, zawołała:

— Zaczekaj, stuknij tym kijem, żeby ojciec przyszedł... Boję się być samą!

Gdy stary Baudu przyszedł do tego ponurego pokoju, w którym przesiadywał na krześle całemi godzinami, rozweseliła twarz i zawołała wślad za Dyonizą:

— Nie przychodź jutro, nie potrzeba; ale w niedzielę będę cię czekała; przepędzisz ze mną całe popołudnie.

Nazajutrz przed świtem, o godzinie szóstej, wyzionęła ducha, po okropnem czterogodzinnem rzężeniu. W sobotę odbył się pogrzeb; czas był okropny, niebo jakby z sadzy ciążyło nad drżącem z chłodu miastem. Vieil Elbeuf, obciągnięty białem suknem, świecił na ulicy jakby biała plama: a płomienie gromnic wydawały się jak gwiazdy tonące w zmierzchu. Wieńce z paciorek i ogro-

mny bukiet z białych róż, okrywały małą trumienkę jakby dla dziewczynki, ustawioną w ciemnym korytarzu domu, na równi z chodnikiem, tak blisko rynsztoka, że koła powozów obrzucały błotem draperye. Cała dzielnica okryta była wilgocią i zionęła spleśniałemi wyziewami piwnicy, a na błotnistych chodnikach przechodnie ciągle się potrącali.

O dziewiątej godzinie udała się Dyoniza do stryjenki, żeby z nią pozostać; ale ponieważ pogrzeb miał zaraz nastąpić, pani Baudu, która przestała już płakać i oczy miała spalone od łez, poprosiła ją, aby poszła za trumną i czuwała nad stryjem, który niemem zgnębieniem i martwą boleścią niepokoił całą rodzinę. Na dole Dyoniza zastała ulicę pełną ludzi. Mniejsi kupcy z tej dzielnicy, chcieli dać biednym Baudu dowód współczucia. W gorliwości tej była i manifestacya przeciw Magazynowi Nowości, któremu przypisywano powolną śmierć Genowefy. Wszystkie ofiary tego potwora zgromadziły się tam. Bédoré i siostra, pończosznicy z ulicy Gaillon; bracia Vanpouille futrzarze; Deslignières galanternik; Piot i Rivoire składnicy mebli; nawet panna Tatin bieliźniarka i Quinette rękawiczniczka, oddawna zrujnowani, mieli sobie za obowiązek przyjść z Batignolles i z placu Bastylii, gdzie się musieli umieścić w cudzych sklepach. W oczekiwaniu karawanu, spóźniającego się przez jakieś nieporozumienie, cała ta rzesza w czerni, dreptała po błocie, spoglądając zło-

wrogo na magazyn, którego przejrzyste szyby oraz wystawy jaskrawe i wesołe, wydawały się obelgą wobec Vieil-Elbeuf, zasmucającego swą żałobą drugą stronę ulicy. Kilku ciekawych subiektów ukazywało się po za szybami; ale kolos zachowywał się obojętnie, jak maszyna parą pędzona, nieświadoma, że może nieść śmierć po drodze.

Dyoniza szukała wzrokiem brata swego Jana. Spostrzegłszy go przed sklepem Bourrasa, przystąpiła doń, zalecając by szedł przy stryju i podtrzymywał go, gdyby mu trudno było iść samemu. Od kilku tygodni Jan był poważny i jakby opanowany jakąś myślą, owego dnia ubrany czarno, dorosły już ten młodzieniec, zarabiający dziennie dwadzieścia franków, taką miał uroczystą i smutną minę, że to aż siostrę jego uderzyło; nie przypuszczała bowiem, żeby tak dalece kochał kuzynkę. Niechcąc niepotrzebnie narażać małego Pépé na smutne wrażenia, zostawiła go u pani Gras; popołudniu zaś miała go zaprowadzić do stryjostwa, żeby ich uściskał.

Karawan wciąż nie przybywał; Dyoniza bardzo wzruszona, przyglądała się płonącym świecom woskowym; nagle drgnęła, usłyszawszy za sobą głos Bourrasa. Przywołał on znakiem sprzedającego kasztany naprzeciwko, w wązkiej budce przy sklepie winiarza i rzekł:

— Oddaj mi przysługę... gdyby tu kto przyszedł, powiedz, żeby powrócił później, bo za-

mykam sklep Ale nie turbuj się... nikt nie przyjdzie.

Wyszedł potem na chodnik i stał wraz z innymi: Dyoniza rzuciła zakłopotane wejrzenie na jego sklep: zaniedbywał go teraz, na wystawie było już tylko widać zbiór lichych spłowiałych parasoli i czarnych lasek. Poczynione upiększenia, jasno zielone malowanie, zwierciadła, szyld złocony, wszystko to się rozpadało i pokrywało się brudem, jak zwykle bywa, kiedy fałszywe blaski powleką naprędce ruinę. Ale chociaż dawne szczeliny zjawiały się na nowo, wilgoć wystąpiła na złocenia,. dom stał uparcie, przyrosły do boku Magazynu Nowości, jakby szkaradna brodawka, która choć zgniła, odpaść jednak niechce.

— Ach nędznicy! — mruknął Bourras — nawet jej wywieść nie dadzą.

Nadjeżdżający nareszcie karawan, zaczepił się właśnie o ciągniony przez parę wspaniałych koni wóz Magazynu, którego lakierowane boki połyskiwały we mgle. Stary kupiec spoglądał z ukosa na Dyonizę, okiem pałającem z pod brwi krzaczastych.

Powoli orszak ruszył z miejsca, brnąc po błocie wśród ciszy, omnibusy bowiem i dorożki nagle się zatrzymywały. Gdy karawan udrapowany biało, przesuwał się przez plac Gaillon, posępne spojrzenia orszaku pogrążyły się raz jeszcze za szybami wielkiego Magazynu, skąd tylko dwie sklepowe przyglądały się, rade że mają rozrywkę.

Baudu szedł za karawanem krokiem ciężkim i machinalnym; nie chciał przyjąć ręki Jana, idącego ciągle przy nim. Za orszakiem jechały trzy powozy pogrzebowe. Na ulicy Neuve des Petits-Champs, Robineau przyłączył się także, bardzo blady i podstarzały.

U Ś-go Rocha dużo kobiet czekało; były to pomniejsze kupcowe z dzielnicy, które się lękały ciżby w domu przy zwłokach. Manifestacya ta zaczynała wyglądać na zaburzenie uliczne. Gdy po nabożeństwie, pogrzeb ruszył dalej, wszyscy mężczyzni towarzyszyli mu, chociaż daleko było iść z ulicy Saint-Honoré na cmentarz Montmartre. Trzeba było zawrócić ulicą Ś go Rocha i drugi raz przejść koło Magazynu Nowości. Te biedne zwłoki dziewczynki obwożone były dokoła Magazynu, jak prześladująca zmora, jak pierwsza ofiara, któraby padła od kul w czasie rewolucyi. U drzwi czerwone flanele, poruszane wiatrem, fruwały jakby chorągwie; wystawa dywanów błyszczała barwami ogromnych róż i rozwiniętych piwonij.

Dyoniza wsiadła do powozu; wzburzona gwałtownym niepokojem, z sercem ściśniętem smutkiem, nie miała siły iść. Właśnie zatrzymano się na ulicy Dziesiątego Grudnia przy rusztowaniu nowej fasady, które ciągle tamowało drogę przechodniom. Dostrzegła ona starego Bourras'a, który pozostał w tyle, kulejąc prawie pod kołami powozu, w którym siedziała sama jedna. Nigdy-

by nie zaszedł na cmentarz: podniósł głowę, spojrzał na nią i wsiadł.

— Nieszczęsne moja kolana .. — mruknął. Nie odsuwajże się! Alboż to ciebie nienawidzę!

Uczuła, że jest jej przychylny, chociaż wściekły, jak za dawnych czasów. Gderał, mówił, że Baudu jest chyba samym dyabłem, kiedy może iść taki kawał drogi po ciosach, jakie mu spadły na głowę. Orszak powoli znów ruszył; wychyliwszy się, widziała Dyoniza, że się stryj ciągle upiera iść za karawanem, ociężałym krokiem, regulując niejako głuchy i przykry pochód orszaku. Wtedy zagłębiła się w swym kąciku i słuchała parasolnika, który mówił bez końca, przy długiem a smętnem kołysaniu się powozu.

— Czy policya nie powinna oczyścić drogi otwartej dla publiczności... Już przeszło osiemnaście miesięcy, jak nam zawadzają swoją fasadą, gdzie parę dni temu znowu się zabił człowiek... Mniejsza o to! ale jeżeli teraz zechce się rozprzestrzeniać, to mu wypadnie mosty zarzucać przez ulicę. Powiadają, że was tam jest dwa tysiące siedmset osób i że w tym roku kapitał obrotowy wyniesie: sto milionów... sto milionów, Boże mój! sto milionów!

Dyoniza nie miała co odpowiedzieć. Karawan wjechał na ulicę Chaussée-d'Antin, gdzie krzyżujące się powozy, tamowały mu drogę. Bourras mówił dalej, z błędnym wzrokiem, jakby śnił głośno. — Nie rozumiał jeszcze zwycięztwa Ma-

gazynu, ale już przyznawał upadek dawnego handlu.

— Ten biedny Robineau, jest wystrychnięty na dudka; wygląda jak człowiek, co się topi. Bédoré i Vanpouille, także nie mogą się już utrzymać o swojej sile; mają nogi pogruchotane jak ja. Deslignières'a zabije apopleksya, Piot i Rivoire przeszli żółtaczkę; wszyscyśmy ładni i stanowimy piękny orszak szkieletów towarzyszący zwłokom tego drogiego dziecka. Musi to być zabawnie patrzeć na ten pochód szeregu upadłości. Zresztą, zdaje się, iż będzie nas dalej uprzątał. Ci łotrzy zamyślają urządzić oddział kwiatów, mód, perfumeryi, obówia i sam niewiem czego! Grognet, perfumiarz z ulicy Grammont, będzie się musiał pewno wynieść; za sklep z obówiem na ulicy d'Antin szewca Naud, nie dałbym dziesięciu franków. Ta zaraza szerzy się aż do ulicy Ś-tej Anny, zkąd Lacassagne, handlujący kwiatami i piórami i pani Chadeuil, robiąca także sławne kapelusze, zostaną usunięci przed upływem dwóch lat. Po nich pójdą inni i jeszcze inni! Wszystkie sklepy w tej dzielnicy przepadną! Jeżeli bławatnik sprzedaje mydła i kalosze, to może mu przyjść ochota sprzedawać również kartofle smażone. Koniec świata, słowo daję! Karawan przechodził w tej chwili przez plac de la Trinité i z ciemnego kącika powozu, w którym Dyoniza słuchała ciągłych skarg starego kupca, kołysana powolnym pochodem orszaku pogrzebowego, mogła widzieć

wyjeżdżając z ulicy Chaussée-d'Antin, karawan wstępujący już pod górę na ulicy Blanche. Po za stryjem, który szedł głuchy i ślepy, jakby wół skazany na zarżnięcie, zdawało jej się, że słyszy stąpanie trzody prowadzonej do rzeźni. Była to gromada zbankrutowanych sklepów całej dzielnicy, wlokąca swą ruinę, klapiąc mokremi pantoflami po czarnem błocie paryzkiem. Bourras mówił teraz przytłumionym głosem, jak gdyby tamowanym ciężką jazdą pod górę na ulicy Blanche.

— Mnie się dał we znaki... ale mimo to, trzymam go i nie puszczam. Znowu przegrał w apelacyi. O, nie mało mię to kosztowało: proces dwuletni blizko, a obrońcy, prawnicy! Mniejsza o to! nie przeleźć pod moim sklepem, sędziowie zawyrokowali, że takie roboty, nie mają usprawiedliwionego celu. Pomyśleć tylko, że zamierzał urządzić tam salon oświetlony, do wybierania kolorów materyj przy gazie; miało to być podziemie łączące składy sukna z wyrobami pończoszniczemi. Wścieka się coraz bardziej, nie może tego strawić, żeby taki stary nędzarz jak ja, stawał mu na drodze, kiedy wszyscy padają na kolana przed jego pieniędzmi.. Nigdy, nie chcę! nie ustąpię, chociaż może wyjdę z torbą. Odkąd muszę walczyć z sądowymi woźnymi, wiem, że ten łotr poszukuje moich kredytorów; pewno chce mi spłatać jakiego brzydkiego figla. Nic nie szkodzi: on mówi „tak” a ja mówię „nie” i zawsze będę mówił „nie” do licha... Nawet le

żąc w czterech deskach, jak ta mała, którą pochowamy.

Dostawszy się na bulwar Clichy, powóz zaczął toczyć się prędzej; słychać było zmęczony oddech ludzi i mimowolny pośpiech orszaku, któremu pilno było dotrzeć do celu. Czego Bourras nie powiedział, to że straciwszy głowę, popadł w straszną nędzę, jak to zwykle bywa, kiedy podrzędny i upadający kupiec upiera się przy swoim handlu, pomimo gradu zaprotestowanych weksli. Dyoniza, znając jego położenie, szepnęła błagalnie:

— Panie Bourras, nie upieraj się dłużej... i pozwól, żebym się wdała w twoje interesa.

Przerwał jej gwałtownym ruchem:

— Milcz! bo to do mnie jednego należy. Dobra z ciebie dziewczynka, wiem, że ten człowiek ma ciężkie życie z twego powodu, on który myślał, że jesteś do sprzedania, jak mój dom... ale cóżbyś powiedziała, gdybym ci radził odrzec „tak" na jego żądania? Hę! co?... kazałabyś mi być cicho, prawda? A więc, kiedy ja mu odpowiadam „nie", to nie wsuwaj nosa do nieswoich rzeczy!

W tej chwili powóz się zatrzymał u bramy cmentarnej, wysiadł więc z Dyonizą. Grób rodziny Baudu, znajdował się w pierwszej ulicy na lewo...: W przeciągu kilku minut, ceremonia została ukończona. Jan odsunął na bok stryja, który osłupiały, wpatrywał się w grób. Orszak pogrzebowy rozpraszał się po sąsiednich mogiłach.

Wszystkie twarze tych kupców, bezkrwiste skutkiem przesiadywania w głębi niezdrowych sklepów, przybierały pozór zbolałej brzydoty, pod niebem barwy błota. Skoro trumna spuszczała się zwolna, pobladły ceglaste lica, spuściły się anemicznie ściśnięte nosy, powieki pożółkłe od rozlanej żółci i pomarszczone od ślęczenia nad cyframi, odwróciły się od grobu.

— Wszyscy powinniśmy się zagrzebać w tym dole — rzekł Bourras do Dyonizy stojącej obok niego.—Z tą małą, całą dzielnicę grzebią... O, wiem ja co mówię; stary handel może się przyłączyć do tych róż białych, które tam wraz z nią wrzucają.

Dyoniza odwiozła stryja i brata żałobnym powozem. Cały ten dzień był dla niej strasznie przykry. Najprzód zaczynała ją niepokoić bladość Jana i miarkując, że się znow wplątał w jakąś awanturę z kobietą, chciała mu zamknąć usta, otwierając sakiewkę; ale potrząsał głową i odmawiał: tym razem nie było to na żarty; chodziło o siostrzenicę bardzo bogatego pasztetnika, która nie przyjmowała nawet bukiecika fiołków. Następnie, gdy się udała popołudniu do pani Gras po Pépé, oznajmiła ona, że to już za duży zeń chłopiec, żeby go u siebie nadal trzymała. Był to nowy kłopot, gdyż wypadało szukać szkoły i może oddalić dziecko od siebie. Nakoniec skoro zaprowadziła go do stryja, żeby go uściskał, serce jej zamarło na widok ponurej boleści, panującej w Vieil-Elbeuf. Sklep był zamknięty, stryjostwo

usunęli się w głąb salki, zapominając zapalić gaz, chociaż ten zimowy dzień był zupełnie ciemny. We dwoje już tylko siedzieli naprzeciwko siebie, w tym domu opustoszonym zwolna przez ruinę i śmierć córki. Potem ostatniem nieszczęściu zwłaszcza, takie cienie tam zalegly, że zdawało się, iż muszą już rozeprzeć stare belki, zmurszałe od wilgoci. Odurzony swą niedolą, stryj chodził ciągle dokoła stołu krokiem pogrzebowym, ślepy na wszystko i niemy. Żona jego także milcząca padła na krzesło, z tak bladą twarzą, jak gdyby skutkiem odniesionej rany, kroplę po kropli, wszystką krew traciła. Nie zapłakali nawet gdy Pépé całował serdecznie ich zimne lica. Dyoniza dusiła się od płaczu.

Tego wieczora właśnie Mouret wezwał ją do siebie, aby się rozmówić o kostiumie dziecinnym, nawpół szkockim i żuawskim, który chciał w modę wprowadzić. Przeniknięta do głębi litością, odurzona tyloma nieszczęściami, nie mogła się powstrzymać, by nie przemówić najpierwej za Bourrasem, tym biedakiem powalonym już na ziemię, któremu chciano ostatni cios jeszcze zadać. Ale na wzmiankę o nim, Mouret uniósł się: stary ten maniak, jak go nazywał, sam zatruwa sobie życie i psuje mu tryumf idyotycznem upieraniem się przy swoim domu, tej lichej lepiance, której rudera brudzi *Bonheur des Dames*, pozostając jedyną piędzią ziemi, wymykającą się z pod jego zaborów. Sprawa ta zaczynała go dręczyć jak

zmora i gdyby kto inny nie Dyoniza odezwał się za Bourrasem, byłby za drzwi wyrzucony, tak dalece opanowała Moureta chorobliwa żądza zdeptania tej rudery. Czegóż chcą właściwie od niego? Alboż może zostawiać to rumowisko obok swego magazynu? Zostanie bądź co bądź usunięte bo magazyn musi się rozszerzyć. Tem gorzej dla starego waryata. Przypominał potem swoje propozycye, dochodzące do stu tysięcy franków. Czyż to nie dostateczna suma? Przecież nie targuje się, tylko daje, ile kto żąda, ale niechaj ludzie mają choć tyle rozsądku, żeby mu dać skończyć zaczęte dzieło! Czy kto zatrzymuje lokomotywy na drogach żelaznych? Dyoniza słuchała go ze spuszczonemi oczami, zdobywając się tylko na argumenta czerpane w uczuciu. Ten biedak taki już stary, można zaczekać aż umrze, bo ostateczna ruina gotowa go zabić. Nareszcie dodał, że już nie może zmienić biegu tej sprawy, że Bourdoncle zajmuje się nią i że na radzie postanowiono położyć jej koniec. Pomimo przenikającej ją litości nie mogła już nic powiedzieć.

Po chwili przykrego milczenia, Mouret sam zawiązał rozmowę o starych Baudu. Zaczął ich żałować z powodu utraty córki. Przyznawał, iż to dobrzy i uczciwi ludzie, ale nieszczęście ich się uczepiło. Potem wrócił do swoich argumentów: co prawda, sami się uwzięli na siebie, upierając się przy takiej spróchniałej budzie starego handlu: nic dziwnego, że pokryje ich swemi gruzami.

Przepowiadał to ze dwadzieścia razy; nawet ona musi przypominać sobie, że prosił, żeby uprzedziła stryja o nieuchronnej klęsce, jeżeli zechce obstawać przy śmiesznych zastarzałościach. Ponieważ nastąpiła już katastrofa, nikt na świecie nie zdoła ją powstrzymać. Przecież żaden rozsądny człowiek nie może wymagać, żeby się on zujnował dla ocalenia pomniejszego handlu w dzielnicy. Zresztą, gdyby nawet był tak szalony i zamknął swój magazyn, inny wielki wyrósłby w pobliżu dlatego, że się w powietrzu unosi ideja wielkich roboczych i przemysłowych dzielnic, jako będąca w duchu czasu. Gmach minionych wieków, chylący się obecnie ku upadkowi, musi runąć nakoniec. Powoli Mouret ożywiał się: z wymownem wzruszeniem bronił się od nienawiści swych mimowolnych ofiar i krzyku drobnych dogorywających sklepów, który się dokoła niego rozlegał.— Zwłok umarłych nie przechowuje się, trzeba je grzebać,—i gestem rzucał je pod ziemię, zmiatał i ciskał do wspólnego grobu trupa staroświeckiego handlu, którego szczątki zzieleniałe i cuchnące, wstyd przyniosiły ulicom nowego Paryża, blaskiem słońca oblanym. Nie, nie, nie czuł wyrzutów sumienia, robił tylko to, co mu duch czasu nakazywał, a ona przecież wie o tem, ona co tak kocha życie, co ma taki pociąg do interesów na szeroką skalę, dokonywanych w pełni światła dziennego. Zniewolona do milczenia, słuchała go długo, poczem odeszła z duszą wzburzoną.

Mało co spała owej nocy; z boku na bok przewracała się, dręczona bezsennością lub widziadłami. Zdawało jej się, że jest maleńką, w Valognes— i zalewa się łzami w ogrodzie, widząc, że piegże zjadają pająków, które znowu żywią się muchami. Więc świat musi tuczyć się śmiercią i musi istnieć walka o byt, która każe wzrastać istotom na kostnicy odwiecznego zniszczenia? Potem widziała siebie przed grobem, do którego spuszczano Genowefę, oraz stryja i ciotkę samych w głębi ciemnej salki jadalnej. Wśród głębokiej ciszy, głuchy łoskot przenikał martwą atmosferę: to dom Bourrasa walił się, jak gdyby podnurtowany wielkiemi wodami. Nastawała jeszcze straszniejsza cisza, potem rozlegał się huk drugi raz, trzeci i czwarty... Robineau, Bédoré i siostra, Vanpouille, po kolei padali zmiażdżeni; drobny handel dzielnicy Ś go Rocha znikał pod niewidzialną motyką, przy piorunowym huku, wyładowywanych wozów. Wtedy zdjęta litością, zrywała się. Boże mój! co tu udręczeń,—rodziny całe płaczą, starcy wyrzuceni na bruk, wszystkie szarpiące dramata ruiny! Nie mogła jednak ocalić nikogo i przekonaną była, że to co się dzieje, z dobrem jest ogółu i potrzebne dla zdrowia przyszłego Paryża. Gdy dzień nastał, uspokoiła się i wielki lecz zrezygnowany smutek spędzał jej sen z oczu, które zwracała ciągle do okna, przepuszczającego coraz więcej światła. Tak, to jest danina krwi, każdy

przewrót wymaga ofiar; tylko po ciałach nieboszczyków, można kroczyć naprzód. Obawa, że ma złośliwą naturę, że bierze udział w mordowaniu bliźnich, rozpłynęła się teraz w rzewnej litości, wobec cierpień nieuleczalnych, które są bolesnym porodem każdego pokolenia. Nareszcie zaczęła obmyślać możliwe ulgi; idąc za popędem dobroci, długo rozważała, jakimby sposobem, przynajmniej swoich bliźnich, obronić od ostatecznej zagłady.

Stanął jej na oczach Mouret, ze swą namiętną głową i pieszczotliwem spojrzeniem. On jej z pewnością nic nie odmówi; nie wątpiła, że wynagrodzi krzywdy, o ile tylko będzie to w jego mocy. Gubiła się w myślach, usiłowała wyrobić sobie o nim sąd. Znała jego życie, wiedziała jak był dawniej wyrachowany w romansach swoich, jak wyzyskiwał ciągle kobietę — kochanki, służące mu do utorowania sobie karyery; panią Desforges, z którą zawiązał stosunek, jedynie w celu opanowania barona Hartmanna i wszystkie inne: te Klary napotykane przypadkiem, rozkosze które kupował, płacił i wyrzucał potem na bruk. Tylko że owe debiuty romansowego awanturnika, z których go magazyn wyśmiewał, nikły wobec błysków geniuszu i zwycięzkiego uroku. Był on uosobioną pokusą. Czegoby mu nigdy nie wybaczyła, to dawnej obłudy; będąc zimnym, odegrywał rolę rozmiłowanego i gotowe-

go na usługi kochanka. Ale dziś, kiedy cierpiał przez nią, nie mogła się nań gniewać. To cierpienie go podniosło. Widząc, że jest tak udręczony, że tak ciężko pokutuje za wzgardę dla kobiety, zdawało jej się, że odkupił swe winy.

Tegoż samego ranka, otrzymała od Moureta wszelkie ulgi, jakichby zapragnęła w dniu ostatecznego upadku Bourrasa i starych Baudu. Tygodnie mijały, odwiedzała stryja prawie codzień, wymykając się doń na chwilę popołudniu i zanosząc odwagę dzielnej dziewczyny, aby rozweselić ten sklep posępny. W szczególności niepokoiła ją stryjenka — odrętwiała i posiniała od śmierci Genowefy. Zdawało się, iż potrosze uchodzi z niej życie z każdą godziną; na zapytania o stan zdrowia, odpowiadała z zadziwioną miną, że wcale nie cierpi, tylko poprostu sen ją morzy. Sąsiedzi potrząsali głowami, mówiąc, że ta kobieta nie długo będzie tęskniła za córką.

Pewnego dnia, wychodząc od stryja, usłyszała Dyoniza straszny krzyk na zakręcie placu Gaillon. Tłum biegł w tę stronę i całą ulicę opanowała nagle panika i litość. Koła jednego z omnibusów kursujących od Bastylii do Batignolles, przeszły po ciele człowieka, na rogu ulicy Neuve-Saint-Augustin przed wodotryskiem. Woźnica, stojąc na koźle, gniewnym ruchem powstrzymywał wspinające się kare konie, klął i wymyślał.

— O dla Boga, strzeżże się, nierozważny gapiu!

Nakoniec stanął omnibus. Tłum otaczał rannego; przypadkiem znalazł się też i policyant. Furman, ciągle stojący na koźle, powoływał się na świadectwo pasażerów, którzy się podnieśli i wychylali głowy, aby zobaczyć krew, tłomaczył się z rozpaczliwemi ruchami i z coraz większą złością.

— Niesłychany wypadek... co to za jeden? Stał nieruchomy jakby u siebie w pokoju. Wołałem na niego i patrzcie no wsunął się pod koła!

Naonczas, jeden z robotników, malujący wystawę w sąsiednim domu, przybiegł z pędzlem w ręku i powiedział krzykliwym głosem pośród ogólnego szmeru:

— Nie trap się, ja widziałem, że się z umysłu rzucił. Ot tak... głowę podłożył... Musiało mu się życie naprzykrzyć!

Inne głosy, podniosły się także; wszyscy utrzymywali, że to było samobójstwo. Tymczasem policyant zbierał wiadomości. Kobiety pobladłe, wysiadały czemprędzej i nieoglądając się, unosiły okropne wrażenie, jakiego doznały od wstrząśnienia, kiedy omnibus przytłoczył ciało. Dyoniza także zbliżyła się, bo ją gnała litość na miejsce wypadku: czy psa rozjechano, czy koń upadł, lub strycharz spadł z dachu. Poznała na bruku nieszczęśliwego, omdlałego, w tużurku zwalanym błotem.

— To pan Robineau! — wykrzyknęła, boleśnie zadziwiona.

Policyant zaraz zaczął ją wypytywać: podała mu nazwisko rannego, zawód i adres. Dzięki przytomności umysłu woźnicy, omnibus kręto się zawrócił i tylko nogi Robineau, znalazły się pod kołami; ale była obawa, czy nieuległy obie złamaniu. Czterech ludzi dobrej woli poniosło go do apteki na ulicy Gaillon, omnibus zaś zwolna potoczył się dalej.

— A bodajże go!—rzekł woźnica, zacinając konie biczem—przepadł mi dzisiejszy dzień.

Dyoniza udała się za Robineau do aptekarza; ten zaś ponieważ daremnie dotąd szukano doktora, orzekł że nie grozi natychmiastowe niebezpieczeństwo, więc najlepiej przenieść rannego do domu, zwłaszcza, że niedaleko mieszka. Jakiś człowiek poszedł do cyrkułu policyjnego po nosze. Wówczas przyszła Dyonizie dobra myśl do głowy: pójść naprzód, ażeby przygotować panią Robineau do tego strasznego nieszczęścia. Ale miała wielką trudność w wydostaniu się na ulicę i przebiciu się przez tłum, który się tłoczył przed apteką i ciągle wzrastał. Dzieci i kobiety wspinając się na palcach, wytrzymywały nacisk ciekawych. Każdy z nowo przybyłych obmyślał jakąś historyę: w tej chwili opowiadano, że to pewien zazdrosny mąż, wyrzucił kochanka swojej żony za okno.

Wszedłszy na ulicę Neuve des Petits Champs, Dyoniza spostrzegła zdaleka panią Robineau na progu sklepu specyalnie jedwabnych towarów. —

Korzystając z tego pozoru, zatrzymała się i gawędziła chwilkę, szukając sposobu złagodzenia okropnej wieści. W sklepie panował nieporządek i zaniedbanie w skutek ostatnich walk handlu dogorywającego. Było to przewidywane rozwiązanie wielkiej batalii pomiędzy dwoma spółzawodniczącemi jedwabnikami; *Bonheur des Dames*, zwyciężyło konkurencyę skutkiem nowej zniżki o pięć centymów; sprzedawano je tam obecnie tylko po cztery franki dziewięćdziesiąt pięć centymów. Było to Waterloo dla materyj Gaujeana. Od dwóch miesięcy Robineau zmuszony uciekać się do fortelów, pędził piekielne życie, ażeby zapobiedz ogłoszeniu bankructwa.

— Widziałem męża pani przechodzącego przez plac Gaillon—powiedziała z cicha Dyoniza, która weszła nareszcie do sklepu.

Pani Robineau, spoglądająca ciągle z niepokojem na ulicę, powiedziała żywo.

— Przed chwilą, nieprawdaż? Oczekuję go; powinien tu już być. Był u nas dziś rano pan Gaujean i wyszli razem.

Zawsze była ona pełną wdzięku, delikatna i wesoła; lecz poważny stan już ją męczył, była jeszcze więcej zmieszana i zbita z toru, co do tych interesów, tak obcych jej tkliwej naturze, które w dodatku szły coraz gorzej. Często powtarzała: „Po co to wszystko? czyby nie lepiej było żyć spokojnie, w małem mieszkanku, choćby tylko o kawałku chleba.

— Moje kochane dziecko — rzekła z swym uśmiechem, który bywał teraz smutny — nie mamy przed tobą tajemnic... Bardzo źle idzie; mój mąż nie sypia po nocach. Dziś znowu ten Gaujean dręczył go, z powodu spóźniających się wypłat. Umierałam z niepokoju, siedząc sama jedna.

Zmierzała znowu ku drzwiom, lecz Dyoniza powstrzymała ją, usłyszawszy zdaleka szmer tłumu. Odgadła, że się nosze zbliżają i że im towarzyszy fala ciekawych, nie chcących oddalać się od wypadku. Wówczas, z zaschniętem gardłem, nie mogąc znaleźć słów na pociechę, zmuszoną była powiedzieć:

— Nie trwóż się pani... nagłe niebezpieczeństwo nie grozi... Widziałam pana Robineau... spotkało go nieszczęście... Niosą go tu, ale nie trwóż się, pani, proszę!

Młoda kobieta słuchała, okropnie blada, nie rozumiejąc jeszcze dobrze, co zaszło. Ulica napełniła się ludźmi; dorożkarze zmuszeni zatrzymać się, klęli; tragarze postawili nosze pod sklepem, by otworzyć na oścież szklanne drzwi.

— To prosty wypadek — mówiła dalej Dyoniza, chcąc utaić zamiar samobójstwa. Stał na chodniku i poślizgnął się pod koła omnibusu... Nogi tylko ma pokaleczone... Szukają już doktora... Nie trwóż się, pani.

Okropne dreszcze wstrząsały panią Robineau. Trzy razy niezrozumiale krzyknęła, potem nio

już nie mówiąc, rzuciła się na lektykę, odchyliwszy firanki drżącemi rękami. Tragarze którzy go przynieśli, czekali, by go znowu ponieść, gdy nadejdzie doktór. Nie śmiano dotknąć Robineau, który odzyskał już przytomność. Doznawał on okrutnych cierpień za najmniejszem poruszeniem. Skoro ujrzał żunę, dwie duże łzy spłynęły mu po licach. Ściskała go z płaczem, bystro wlepiając weń wzrok. Na ulicy tłum się nie zmniejszał, twarze z błyszczącemi oczami skupiały się jak na widowisku; robotnice wyrwawszy się z warsztatów, o mało co nie wysadziły szklannych drzwi, aby lepiej widzieć. Dla uniknienia tej gorączki ciekawości i uważając to zresztą za właściwsze, by sklep był zamkniętym, Dyoniza opuściła metalowe sztory. Sama obróciła korbę, kółka wydały żałośliwy zgrzyt, blacha powoli się spuszczała, jak ciężka kortyna, spadająca na zakończenie piątego aktu. Zamknąwszy małe drzwiczki za sobą, weszła napowrót do magazynu, gdzie spostrzegła panią Robineau, tulącą ciągle w ramionach męża swego, przy słabem światełku wpadającem przez dwie gwiazdy wycięte w okiennicach. Zrujnowany sklep zdawał się zapadać w nicość, tylko owe gwiazdy błyszczały nad tą katastrofą nagłą i brutalną, z bruku paryzkiego. Nakoniec pani Robineau odzyskała mowę:

— O mój drogi!... mój drogi... mój najdroższy!...

Tylko na te słowa zdobyć się mogła; on zaś łkając, wyspowiadał się, dręczony wyrzutami su

mienia, na widok żony klęczącej, z odrzuconą w tył głową, z oznakami przyszłego macierzyństwa, przyciśniętej do lektyki. Gdy się nie ruszał, czuł tylko ołowiany ciężar i palenie w nogach.

— Wybacz mi, musiałem być waryatem... Kiedy adwokat powiedział mi, przy Gaujean'ie, że afisze o mojej upadłości jutro będą rozlepione, zdawało mi się, że widzę płomienie, jak gdyby się mury paliły... Potem już nic nie pamiętam, wszedłem na ulicę Michodière, zdało mi się, że ludzie z *Bonheur* szydzą ze mnie, że mię ohydny ten dom przytłacza; w tej chwili omnibus nadjeżdżał, przypomniawszy sobie Lhomme'a i jego ramię, rzuciłem się pod koła...

Zwolna, pani Robineau, przerażona tem okropnem zeznaniem, siadła na podłodze. Mój Boże! więc on chciał umrzeć! Chwyciła za rękę Dyonizę, która pochyliła się nad nią, cała wzburzona tą sceną. Chory wyczerpany wzruszeniem, znowu stracił przytomność.. a doktór nie zjawiał się! Dwóch ludzi przebiegło już dzielnicę, odźwierny domu, również puścił się na poszukiwanie.

— Nie trwóż się, pani; — powtarzała machinalnie Dyoniza, zanosząc się sama od płaczu.

Wtedy pani Robineau siedząc na ziemi, z głową na równi z noszami, wsparta na lektyce, ulżyła sercu.

— Ach! gdybym ci wszystko opowiedziała... on dla mnie chciał umrzeć. Powtarzał mi ciągle:

okradłem cię, to twoje pieniądze. W nocy śni o tych sześćdziesięciu tysiącach franków, budził się spocony i nazywał siebie niedołęgą. Mówił, że kiedy się nie ma głowy, nie trzeba ryzykować cudzego grosza. Wiesz, że był zawsze nerwowy, pełen niepokoju. Przyszło do tego, że widział przed sobą rzeczy które mię przerażały; spostrzegł mię na ulicy w łachmanach, żebrzącą; mnie, którą tak bardzo kochał, dla której pragnął bogactw, szczęścia...

Odwróciwszy głowę, spostrzegła, że mąż otworzył już oczy i dalej mówiła, szlochając:

— O! mój drogi, czemużeś to uczynił? czym ja taka niegodziwa. Mnie ta ruina obojętna. Bylebyśmy razem byli, nie możemy być nieszczęśliwi. Niechaj wszystko zabierają. Oddalmy się tam, gdzie będziesz mógł o nich nie słyszeć. Będziesz pracował, pomimo to wszystko; zobaczysz, że będzie nam dobrze.

Zbliżyła czoło do bladej twarzy męża i oboje milczeli rozczuleni, pełni trwogi. Zapanowała cisza. Sklep zdawał się uśpiony, tak martwy był, tonąc w bladym zmierzchu. Po za cienką blachą okienic, słychać było hałas uliczny, ruchliwe życie, pełno krzyżujących się powozów i przechodni, tłoczących się na chodnikach. Nakoniec Dyoniza która co chwila biegła do drzwiczek wychodzących do sieni, wróciła z okrzykiem:

— Doktór!

Był to młodzieniec z żywem okiem, którego odszukał odźwierny domowy. Wolał on zbadać chorego, zanim go położą. Tylko lewa noga była złamana powyżej kostki. Złamanie było proste, nie można było obawiać się żadnej komplikacyi. Miano właśnie zanieść lektykę do pokoju, kiedy nadszedł Gaujean, aby zdać sprawę, że ostatni raz probował wydźwignąć się: ale nadaremnie; ogłoszenie upadłości stało się więc nieuniknionem.

— Ale co się tu stało? — szepnął — co się dzieje?

Dyoniza jednem słowem wyjaśniła mu rzecz całą. Zmięszał się bardzo; Robineau przemówił doń słabym głosem:

— Nie mam do pana żalu, ale jest w tem trochę i pańskiej winy.

— Cóż robić, mój kochany, — odpowiedział Gaujean — trzeba było mieć pewniejsze nogi od naszych! Wiesz, że ze mną nie lepiej się dzieje.

Podniesiono nosze, a ranny znalazł jeszcze dosyć siły, żeby mu powiedzieć:

— Nie, nawet pewniejsze nogi byłyby się ugięły. Pojmuję, że tacy zawzięci starcy jak Bourras i Baudu, obstawali przy swojem, ale my młodzi, co uznawaliśmy korzyści nowego obrotu interesów!... Nie, Gaujean, to koniec świata!

Wyniesiono go. Pani Robineau uściskała Dyonizę w uniesieniu, w którem prawie przebijała radość, że uwolnioną jest nareszcie od kłopotów

handlowych. Gaujean, odchodząc z Dyonizą, wyznał jej, że ten biedny Robineau miał słuszność, chcieć walczyć z Magazynem Nowości i że on sam przepadnie, jeżeli nie odzyska łask. W wigilią tego dnia poczynił kroki względem Hutina, który był na wyjezdnem do Lyonu, ale mając mało nadziei, starał się pozyskać sobie Dyonizę; zapewne był świadomy jej władzy.

— Trudno — powtarzał — tem gorzej dla fabryk. Śmiano by się ze mnie, gdybym się rujnował walcząc dalej, w interesie innych, kiedy nas prześcigają zuchy produkujący taniej; słusznie pani mówiłaś kiedyś, że fabryki powinny iść za postępem, ulepszając swą organizacyę, obmyślając nowe środki działania. Wszystko dobrze pójdzie, byleby publiczność była zadowolona.

Dyoniza odpowiedziała z uśmiechem:

— Powiedzże pan to panu Mouretowi, sprawisz mu przyjemność swem przyjściem. Nie jest to taki człowiek, żeby żywił jeszcze złość, jeżeli mu pan zaproponujesz choćby centym zysku na łokciu.

Pani Baudu umarła w styczniu, w jasne i słoneczne popołudnie. Od dwóch tygodni nie mogła już schodzić do sklepu, którego pilnowała najęta na dnie kobieta. Siedziała na łóżku, obłożona poduszkami. Na jej bladej twarzy, jedne tylko oczy dawały znak życia. Z głową wyprostowaną zwracała je uporczywie naprzeciwko, w stronę Magazynu Nowości, po przez firaneczki u okien. Bau-

du, którego męczyło to jej wpatrywanie się, chciał spuścić duże firanki; ale błagalnym gestem, powstrzymała go, chcąc to widzieć do ostatniej chwili. Ten potwór, wszystko już jej zabrał teraz: dom, córkę, i w niej samej życie zamierało zwolna razem z Vieil Elbeuf, który gasł, w miarę jak ubywała klientela. W dniu kiedy nastąpiło jego konanie, jej także brakło już tchu. Czując się blizką śmierci, znalazła jeszcze tyle siły, aby poprosić męża o otwarcie obu okien. Ciepło było i wesołe słońce, rzucało blaski na Magazyn Nowości; ale pokój starego mieszkania drżał w cieniu. Pani Baudu utkwiła oczy w pomniku tryumfu, o świecących szybach, po za któremi cwałem przebiegały miliony. Powoli oczy jej gasły: gdy skończyła życie, pozostały szeroko otwarte, jak gdyby wpatrzone jeszcze i zalane dużemi łzami.

Zrujnowany drobny handel dzielnicy, towarzyszył znowu konduktowi. Byli tam bracia Vanpouille, wycieńczeni z powodu należności wypłaconych w grudniu z takim wysiłkiem, że się już więcej nie będą mogli na to zdobyć; Bédoré i Siostra, wsparty na lasce, zmordowany troskami, które wzmogły w nim cierpienia żołądkowe; Deslignières, który niedawno przebył atak apoplektyczny; Piot i Rivoire idący w milczeniu, z głowami zwieszonemi, jak ludzie do ostatecznej zguby doprowadzeni. O nieobecnych nie śmiano pytać o Quinette'a, pannę Tatin i innych, od rana

do wieczora walczących, potrącanych, nakoniec porwanych i uniesionych wirem klęsk; nie licząc Robineau, rozciągniętego na łóżku, ze złamaną nogą. Lecz z największem zajęciem pokazywano sobie kupców, świeżo dotkniętych zarazą: perfumiarza Grognet, modystkę panią Chadeuil i kwieciarza Lacassagne, jakoteż szewca Naud, trzymających się jeszcze na nogach, lecz dotkniętych już obawą grożącej im napewno klęski. Za karawanem postępował Baudu, tymże samym krokiem zmęczonego wołu, jakim szedł za trumną córki, a w głębi pierwszego powozu żałobnego, spostrzegano błyszczące oczy Bourrasa pod krzaczystemi brwiami i włosy jak śnieg białe.

Dyoniza doznała wielkiego zmartwienia. Od dwóch tygodni prześladowały ją troski i trudy. Musiała oddać Pépé do szkół, a Jan zmuszał ją do bieganiny, bo tak był zakochany w synowicy pasztetnika, że błagał siostrę, ażeby się zań oświadczyła o jej rękę. Nakoniec śmierć stryjenki i nieszczęścia, jakie nawiedzały ciągle ten dom, dobiły ją do reszty. Mouret, znów się oddał jej rozporządzeniom, z góry przystając na wszystko, coby uczyniła dla stryjostwa i innych. Pewnego ranka miała z nim znowu rozmowę, dowiedziawszy się, że Bourras został na bruk wyrzucony, a Baudu ma sklep zamknąć. Po śniadaniu wyszła, z nadzieją, że choć im przyniesie ulgę.

Na ulicy de la Michodière, Bourras stał jak wryty na chodniku, wprost swego domu, zkąd go

wypędzono w wigilią tego dnia, wskutek wybiegu sprytnego adwokata: ponieważ Mouret poskupował jego długi, łatwo mu przyszło otrzymać prawo ogłoszenia jego bankructwa; potem zaś nabył za pięćset franków kontrakt na dzierżawę domu, podczas licytacyi, przez syndykat upadłości odbywanej. Tym sposobem, upadłemu starcowi odebrano za pięćset franków to, czego nie chciał oddać za sto tysięcy. Budowniczy przybywszy z całą zgrają mularzy, zmuszony był wezwać pomocy policyi; aby go wygnać z domu. Towary były sprzedane, pokoje opuszczone przez lokatorów; ale nie chciał się ruszyć z kącika; w którym sypiał i przez litość nieśmiano go ztamtąd wypędzić. Mularze zaczęli rozbierać dach nad jego głową. Zdjęli zmurszałe pokrycie szyfrowe, sufity się zapadały, ściany trzeszczały, a on wciąż tam pozostawał, pod słabemi i ogołoconemi deskami pośród gruzów. Nakoniec przynaglony przez policyę, ustąpił, lecz na drugi dzień od rana zjawił się na przeciwległym chodniku, spędziwszy noc w sąsiednim hotelu.

— Panie Bourras, — rzekła ostrożnie Dyoniza.

Nie słyszał jej pożerając rozpłomienionemi oczami robotę mularzy, których oskardy napoczęły główną fasadę lepianki. Obecnie przez otwory dawnych okien, widać było wnętrze domu: nędzne pokoje i ciemne schody, gdzie od dwóch wieków słońce nie przenikało.

— A, to pani, — powiedział nakoniec, poznawszy ją, — ci złodzieje wzięli się gorąco do roboty.

Nie śmiała się już więcej odzywać, wzruszona smutnym stanem dawnego mieszkania, sama niemogąc oderwać oczu od padających kamieni spleśniałych. Na górze w jednym rogu sufitu w dawnem swem mieszkaniu, spostrzegła jeszcze wypalone czarnemi literami imię: Ernestyna; obraz nędzy, jaką wówczas cierpiała, wzbudził w niej litość dla wszystkich nieszczęśliwych. Ale robotnikom przyszło na myśl dobrać się do fundamentów, aby zwalić odrazu całą jedną ścianę. Dom się zachwiał.

— Gdybyż on mógł przywalić ich wszystkich; wyszeptał Bourras, dzikim głosem.

Dał się słyszeć okropny trzask i przestraszeni robotnicy uciekli na ulicę. Padająca ściana wstrząsła całą budową i rozsypała ją w gruzy. Lepianka nie mogła się już utrzymać z powodu obsuwania się i rozpadania ścian; dosyć było jednego pchnięcia, ażeby się rozłupała od góry do dołu. Było to zrównanie z ziemią domu z błota, rozmiękłego od deszczów. Nie pozostało ani kawałka ściany, na ziemi leżała tylko kupa gruzów.

— Mój Boże! — wykrzyknął starzec, jak gdyby ten huk odezwał mu się we wnętrznościach.

Stał w osłupieniu, bo nigdy nie przypuszczał, żeby się to tak prędko zrobiło. Patrzał na otwartą przestrzeń i bok Magazynu Nowości uwolnio-

ny od szpecącej go zgnilizny. Było to zdeptanie muszki, ostatni tryumf nad dolegliwym uporem nieskończenie małej istoty, zagarnięcie i opanowanie całej wyspy. Gromadzący się przechodnie, rozmawiali na cały głos z mularzami, zagniewanymi na stare budowle; „dobre na to tylko, aby zabijały ludzi".

— Panie Bourras; — powtórzyła Dyoniza, starając się go odprowadzić na bok; — przecież pan wiesz, że cię nie opuszczą, wszystkie twe potrzeby będą zabezpieczone.

Wyprostował się nagle i rzekł:

— Nie mam żadnych potrzeb... Wszak to oni cię przysłali? a więc powiedz im: że ojciec Bourras umie jeszcze pracować i znajdzie robotę, gdy zechce. Doprawdy, byłoby nadto wygodnie, żeby jałmużnę dawali ludziom, których zabijają.

Zaczęła go błagać:

— Przyjmij pan, proszę, nie zasmucaj mnie.

Starzec potrząsał głową.

— Nie, nie, wszystko skończone... dobranoc. Żyj szczęśliwa, ty co jesteś młodą i nie przeszkadzaj starym umierać ze swemi ideami.

Rzucił ostatnie spojrzenie na kupę gruzów, poczem odszedł zbolały. Goniła wzrokiem jego plecy, niknące w tłoku na chodnikach; — nakoniec zawrócił za węgłem placu Gaillon i wszystko się skończyło. Przez chwilę Dyoniza stała nieruchoma z zamglonemi oczami; nareszcie weszła do stryja. Sukiennik był sam jeden w ciemnym

sklepie Vieil Elbeuf. Sługa przychodziła tylko zrana i wieczorem, żeby mu co ugotować i pomódz otworzyć i zamknąć okienice. Całe godziny spędzał w samotności, której mu czasami cały dzień nikt nie naruszył. Jakiś był nieprzytomny, nie mógł trafić do właściwego towaru, skoro się odważyła jeszcze wejść klientka. I tam w tej ciszy i półświetle, bez ustanku chodził, swoim ociężałym, pogrzebowym krokiem, ulegając chorobliwej potrzebie ciągłego ruchu, dla ukojenia i uśpienia boleści.

— Czy ci lepiej, stryju? — zapytała Dyoniza.

Zatrzymał się tylko na sekundę i znowu począł chodzić od kasy do ciemnego kąta.

— Tak, tak, zdrów jestem. Dziękuję.

Szukała w głowie wesołej treści do rozmowy i pocieszających słów, ale napróżno.

— Czy stryj słyszał huk? Cały dom się zawalił.

— A! prawda, — rzekł cicho z zadziwioną miną — musiał to być dom... Czułem trzęsienie ziemi. Co do mnie, zobaczywszy ich dziś rano na dachu, zamknąłem drzwi.

Gestem dał do zrozumienia, że go to już nic nie obchodzi. Z każdym powrotem do kasy, spoglądał na pustą ławeczkę, obitą zużytym aksamitem, na której jego żona i córka wzrastały. Potem, kiedy ciągłe dreptanie prowadziło go w kąt, patrzał na półki tonące w cieniu, na których pleśniało jeszcze kilka postawów sukna. Był to

przerażająco smutny dom; istoty ukochane znikły, handel popadł w sromotną ruinę, on jeden tylko dźwigał zamarłe serce i zranioną duszę pośród tych katastrof. Podniósłszy oczy do pociemniałego sufitu, przysłuchiwał się milczeniu panującemu w ciemnej salce jadalnej, w owym kącie rodzinnym, w którym wszystko było mu miłe, nawet jego stęchłe powietrze. W dawnem mieszkaniu najmniejszego oddechu nie było słychać; ciężki jego i miarowy krok, odbijał się o stare ściany, jak gdyby się przechadzał po grobie najtkliwszych swych uczuć.

Nakoniec Dyoniza przystąpiła do głównego celu swych odwiedzin:

— Mój stryju, przecież nie możesz tak pozostać; trzeba coś stanowczego przedsięwziąść.

Nie zatrzymując się, odpowiedział:

— Zapewne, ale cóż mam robić? Chciałem sprzedać, ale nie było kupujących. Zamknę sklep pewnego poranku i oddalę się.

Wiedziała, że się stryj nie może obawiać bankructwa, gdyż kredytorowie woleli porozumieć się, przez wzgląd na tak zawzięte prześladowanie losu, ale zapłaciwszy wszystkich, ujrzy się na bruku.

— A co potem będzie? — szepnęła, rozmyślając nad sposobem ofiarowania tego, z czem przyszła.

— Nie wiem; — odpowiedział. Może mnie kto weźmie z ulicy.

Zaczął chodzić teraz od sali jadalnej do okien wystawowych i spoglądał ponuro na opłakane szyby, z zaniedbaną wystawą. Nie podnosił oczu na fasadę Magazynu Nowości, której architektoniczne linie, ginęły na prawo i na lewo, w dwóch końcach ulicy. Był już zupełnie wyczerpany, nie miał już siły nawet gniewać się.

Dyoniza rzekła nakoniec z zakłopotaniem:

— Możeby się znalazło miejsce dla stryja...

Po chwili milczenia wyjąkała znowu:

— Upoważniono mię do ofiarowania stryjowi miejsca inspektora?

— Gdzie? — zapytał Baudu.

— Naprzeciwko... u nas... sześć tysięcy franków; praca nie uciążliwa...

Nagle zatrzymał się przed nią, lecz zamiast się unosić, jak się obawiała, strasznie zbladł, uginał się widocznie pod bolesnem wrażeniem i gorzką rezygnacyą.

— Naprzeciwko, naprzeciwko, wyjąkał kilka razy. Chcesz, żebym się umieścił naprzeciwko?

Dyonizie udzieliło się to wzruszenie. Widziała długą walkę dwóch sklepów, szła za trumną Genowefy i pani Baudu, miała przed oczami obalony i przytłoczony Vieil Elbeuf przez Magazyn Nowości. Na myśl, żeby się tam stryj przechadzał w białym krawacie, serce jej pękało z litości.

— Powiedz mi, Dyonizo, moje dziecię, czy to jest podobieństwem? — zapytał spokojnie, składając na krzyż drżące ręce.

— O nie, nie, mój stryju! — wykrzyknęła idąc za głosem sprawiedliwości i dobroci. To byłoby źle, wybacz mi, błagam cię.

Zaczął się znowu przechadzać; kroki jego wstrząsały na nowo grobową pustkę tego domu. Skoro Dyoniza odeszła, ciągle chodził chcąc niejako zagłuszyć tym nieustającym ruchem, ciągle wznawiającą się rozpacz.

Dyoniza znowu spędziła bezsenną noc prześladowana ciężarem swej niemocy. Nawet blizkim swoim nie mogła w niczem ulżyć. Musiała do końca pozostać świadkiem niepokonanej działalności życia, która wymaga śmierci, jako ciągłego posiewu. Nie szamotała się już, z uległością przyjmowała to prawo walki, ale jej tkliwa, kobieca dusza, rozpływała się we łzach i współczuciu, na myśl o cierpieniach całej ludzkości. Od tylu lat sama była porwaną pomiędzy koła tej maszyny. Czy nie ponosiła ran, czy nie pastwiono się nad nią, nie wypędzano jej, nie obrzucano niezasłużonemi obelgami? Dziś jeszcze obawiała się czasami, chociaż logika faktów wyniosła ją na wyżyny. Dla czego padł wybór na nią, tak wątłą? Dla czego jej mała rączka, nagle tak ciężko zaważyła nad działalnością kolosa? Ta sama siła wszystko wymiatająca, dźwigała w górę ją, której przybycie miało się stać pomstą.

Mouret wynalazł ten mechanizm do miażdżenia ludzi, którego działanie oburzało ją; usłał dzielnicę gruzami, obdzierając jednych, skazując na śmierć drugich, a pomimo to kochała go, za wielkość jego dzieła; kochała go coraz więcej po każdem nadużyciu władzy, pomimo łez, jakiemi się zalewała na widok świętej niedoli zwyciężonych.

ROZDZIAŁ III.

Przejrzyste słońce lutowe oświetlało nową ulicę Dziesiątego Grudnia, jej domy kredowej białości i ostatnie rusztowania niewykończonych jeszcze budowli. Liczne szeregi powozów przejeżdżały zwycięzko przez tę smugę światła, przerzynającą wilgotne cienie starej dzielnicy Ś-go Rocha. Pomiędzy ulicami la Michodière i Choiseul, cisnął się tłum rozciekawiony całomiesięcznemi reklamami. Z głową wzniesioną do góry, przyglądał się monumentalnej fasadzie *Bonheur des Dames*, której otwarcie nastąpiło właśnie owego poniedziałku, z okoliczności wielkiej wystawy białych towarów.

Była to architektura świeża, wesoła, szeroko traktowana, różnobarwna; ożywiona złotem, odpowiednio do wrzawy i blasku panującego wewnątrz, przyciągająca oczy, jakby olbrzymia wystawa, iskrząca się najżywszemi kolorami. Na parterze dekoracye dano skromne, żeby nie psuć efektu materyj wystawionych w oknie: było to podmurowanie z marmuru zielonego, koloru mo-

rza; narożne filary i podpierające słupy wyłożone były czarnym marmurem, którego powagę ożywiały złocone ozdoby snycerskie. Resztę stanowiły szyby zwierciadlane matowe, w oprawie żelaznej; same tafle lustrzane, wydające się jak otwory, przepuszczające światło z ulicy do głębin galeryj i hall. Ale im piętro było wyższe tem ozdoby stawały się jaskrawszemi. Fryzy parterowe zdobiła mozaika, przedstawiająca wieńce z kwiatów ponsowych i błękitnych, naprzemian z opasującemi ten kolos tablicami z marmuru, na których wyryto nazwy towarów. Podmurowanie pierwszego piętra składało się z emaliowanych cegieł; na niem wspierały się szyby szerokich okien aż do fryzów, zdobnych w złocone herby miast francuzkich i upiększenia snycerskie z terakoty; na emalii zaś powtarzały się jaskrawe kwiaty z dolnego podmurowania. Nareszcie u samej góry tabulatura przedstawiała niejako rozkwit całej fasady; mozaiki i fajanse ukazywały się znów w gorętszych barwach, cynk rynien u góry był wyrzynany i złocony. Na szczycie ciągnął się cały szereg posągów, wyobrażających wielkie miasta przemysłowe i fabryczne, które się odbijały delikatnie na tle nieba. Nadewszystko jednak zdumiewała główna brama, wysoka jak łuk tryumfalny, również ozdobiona mnóstwem mozaik, majolik i terakot. U szczytu lśniła się świeżą pozłotą grupa alegoryczna, wyobrażająca ko-

bietę ubraną, którą całowały roje uśmiechniętych amorków.

Około drugiej godziny, oddział straży musiał ułatwiać tłumom wolne przejście i czuwać nad porządkiem między czekającemi powozami. Pałac ten, zbudowany przybytek wzniesiony na cześć mody rozrzutnej aż do szału, panował nad całą dzielnicą i okrywał ją swym cieniem. Rana, jaką stanowiły rozwaliny domu Bourrasa, tak doskonale się już zabliźniła, że napróżnoby szukano jej dawnego miejsca. Cztery fasady ciągnęły się wzdłuż czterech ulic bez żadnej przerwy, w swem dumnem odosobnieniu. Na przeciwległym chodniku, od czasu gdy Baudu schronił się w domu przytułku, Vieil Elbeuf był zamknięty, zamurowany jak grób. Okienice wcale już nie otwierane, powoli dorożki zabryzgały błotem; afisze zaś przykrywały je i zalepiały, jakby coraz większa reklama, rzucająca ostatnią garstkę ziemi na handel staroświecki. Pośrodku tej wystawy martwej, zwalanej błotem, upstrzonej szmatami wrzawy paryzkiej, rozpościerał się, jakby chorągiew zatknięta w zdobytym kraju, afisz żółty, świeżutki, oznajmujący olbrzymiemi literami, wielką wyprzedaż w *Bonheur des Dames*. Zdawało się, iż ten kolos doszedłszy stopniowo do swych ogromnych rozmiarów, wstydzi się i nienawidzi ciemnej dzielnicy, skromnej kolebki swojej, którą potem zgładził ze świata; odwrócił się bowiem teraz, pozostawiając w swych tyłach błotniste i posępne uli-

ce; parweniuszowskie czoło zwracając ku zgiełkliwej i słonecznej stronie Paryża. Obecnie taki jakim go przedstawiały reklamujące ryciny, rozrósł się jak bajeczny ludożerca, którego ramiona zdają się zdolne rozeprzeć obłoki. Na pierwszym planie tej ryciny ulice: Dziesiątego Grudnia, la Michodière i Choiseul pełne maleńkich i czarnych postaci, rozszerzały się bez miary, jak gdyby miała przez nie przepływać klientela świata całego. Dalej były budowle *Bonheur* przesadnych rozmiarów, widziane z lotu ptaka, ich dachy, przez które widniały zarysy krytych galeryj, oszklonych podwórzy, gdzie się znajdowały halle, cały obszar tego jeziora ze szkła i cynku, połyskującego na słońcu. Po za tem rozciągał się Paryż zmniejszony, pożarty przez potwora; domy okoliczne nędzne jak lepianki, rozrzucone były, odznaczając się tylko niewyraźnym rojem kominów; pomniki zdawały się tu rozpływać: na lewo Notre-Dame oznaczono dwiema kreskami, na prawo Inwalidzi w kształcie wielkiego *accent circonpfexe*; w głębi Panteon zawstydzony i niknący, mniejszy od ziarnek soczewicy. Horyzont w proch rozsypujący się, służył tylko za ramę lekceważoną, aż do wzgórz Chatillon i rozległej wsi, której ginące w dali granice wskazywały obszar zależności.

Od rana tłum się zwiększał ciągle. Żaden jeszcze magazyn nie miał w mieście takiego rozgłosu. Obecnie *Bonheur* wydawało rocznie około sześciu kroć sto tysięcy franków na afisze, ogłoszenia

i reklamy wszelkiego rodzaju. Katalogów rozsyłano za cztery kroć sto tysięcy franków, a na próbki krajano materyj za przeszło sto tysięcy franków. Było to zupełne opanowanie dzienników, murów i uszu publiczności, jakby olbrzymia miedziana trąba, która dmąc bezustanku w czterech rogach kuli ziemskiej, rozgłaszałaby wielką wyprzedaż. Odtąd ta fasada przed którą się tłoczono, była żyjącą reklamą ze swym pstrym i złoconym przepychem bazarowym, z wielkiemi szybami, w których można było umieścić cały poemat ubiorów kobiety, z mnóstwem szyldów malowanych, rytych i rzniętych—od tablic marmurowych na parterze aż do zaokrąglonych w łuki arkuszy tolu po nad dachami, rozwijających banderole złocone z nazwą magazynu przez którego wykrajane litery, przebijał błękit przestworza.—Dla uświetnienia uroczystości otwarcia, dodano trofea i chorągwie. Każde piętro ozdobiono chorągwiami z herbem głównych miast Francyi; u szczytu zaś bandery obcych narodów umocowane na masztach, powiewały wiatrem poruszane. Na parterze, nakoniec, wystawa białych towarów nabierała w głębi okien olśniewającego blasku, wszysko tam było białe aż do znużenia oka: całkowita wyprawa, góra prześcieradeł na lewo, firanki i piramidy chustek do nosa na prawo. — Pomiędzy wiszącemi u drzwi kawałkami płótna, kartonu, muślinu, podobnemi do lawiny śnieżnej, umieszczono ryciny z modami, arkusze niebie-

skiej bibuły, na których panna młoda i dama w stroju balowym, obie wielkości naturalnej, ubrane w prawdziwe materye, w koronki i jedwabie, uśmiechały się malowanemi twarzyczkami. Bezustanku zmieniało się tam koło ciekawych i rozbudzały się żądze zdumionego tłumu.

Bardziej jeszcze podbudzało ciekawość do *Bonheur des Dames* nieszczęście, o jakiem cały Paryż mówił, mianowicie: pożar w *Quatre-Saisons* w świetnym magazynie, który Bouthemont zaledwo przed trzema tygodniami otworzył obok Wielkiej Opery. Dzienniki obfitowały w szczegóły, jako to: że ogień wszczął się w nocy skutkiem wybuchu gazu, że przestraszone sklepowe uciekały w koszulach, że Bouthemont bohatersko wyratował ich pięć na swych barkach. Ogromne straty zostały pokryte, a publiczność zaczynała wzruszać ramionami, mówiąc, że to była przepyszna reklama. Ale w tej chwili, publika znów ciągnęła do *Bonheur*, zgorączkowana obiegającemi wieściami, chorobliwie przejęta ważnością bazarów, które zajmują tak dużo miejsca w jej życiu. Temu Mouretowi wszystko się wiedzie, mówiono. Paryż uchylił czoła przed jego gwiazdą i biegł, by zobaczyć stojącego na pewnych nogach, kiedy płomienie usunęły z pod nóg jego konkurencyę. Obliczano już zysk z bieżącego sezonu, oceniano o ile wzrośnie klientela po niespodziewanem zamknięciu współzawodniczącego magazynu. Przez niejaką chwilę Mouret obawiał się nieco, czując

przeciw sobie kobietę i to panią Desforges, której zawdzięczał w części swą fortunę. Dyletantyzm finansowy barona Hartmanna wkładającego kapitały w oba magazyny, także go drażnił. Nadewszystko jednak korciło go to, że nie miał tak genialnego pomysłu, jak ten hulaka Bouthemont, który poprosił proboszcza od Ś tej Magdaleny z całem duchowieństwem, dla poświęcenia swoich magazynów. Była to imponująca uroczysta i okazała ceremonia, przenosząca się od jedwabi do rękawiczek. Chociaż swoją drogą wszystko się spaliło, miała wartość ogłoszeń za milion franków, z powodu wpływu wywartego na klientkach z modnego świata. Od tego czasu Mouret marzył o sprowadzeniu do siebie arcybiskupa.

Trzecia godzina biła na zegarze umieszczonym po nad drzwiami. Nastąpił ścisk popołudniowy: blisko sto tysięcy klientek tłoczyło się w galeryach i hallach. Powozy zajmowały całą ulicę Dziesiątego Grudnia i plac w stronie opery, gdzie miała się utworzyć nowa aleja. Proste fiakry mieszały się z karetami prywatnemi; woźnice czekali pomiędzy kołami, konie stojące szeregiem rżały i potrząsały łańcuszkami od mundsztuków, sypiąc iskry przy blasku słońca. Bezustanny panował tam ruch, nawoływanie stangretów, potrącanie się koni ścieśniejących swe szeregi i napływ nowych powozów. Zdjęci strachem przechodnie chronili się do bram gromadnie; chodniki zdawały się czarne od ludzi w niknącej perspektywie sze-

rokiej i prostej ulicy. Pośród białych domów panowała wrzawa, nad tem potokiem ludzi unosiło się potężne i słodkie tchnienie Paryża.

Przed jednem z okien pani de Boves i córka jej Bianka, przyglądały się wraz z panią Guibal wystawie kostiumów nawpół gotowych.

— Ach! spojrzyjcie panie na te płócienne kostiumy, po dziewiętnaście franków siedemdziesiąt centymów.

W kwadratowych pudłach, kostiumy leżały obwiązane kolorową wstążeczką w ten sposób, że widać było tylko garnitur sukni z haftem niebieskim i ponsowym; w rogu zaś każdego pudła rycina przedstawiała całe ubranie już gotowe, na młodej osobie, strojącej książęce miny.

— Bo też i nie warte więcej—odezwała się pani Guibal.—Jak tylko wziąść w rękę, zaraz widać, że to lichy gałganek.

Były one teraz w poufałym stosunku, odkąd podagra przykuła pana de Boves do fotelu. Żona cierpliwie znosiła kochankę i wolała żeby się to działo u niej w domu, miała bowiem za to w zysku trochę pieniędzy,—sumki, z których mąż pozwalał się okradać, potrzebując jej względności.

— Wejdźmy—rzekła pani Guibal — trzeba zobaczyć ich wystawę. Czy zięć nie umówił się z paniami, że się spotkacie w magazynie?

Pani de Boves nieodpowiedziała, gdyż wpatrzyła się z roztargnieniem w szereg powozów, które

otwierając się jeden po drugim, dostarczały nowych klientek.

— Owszem, — rzekła Bianka, swym miękkim głosem; Paweł ma nas oczekiwać w czytelni, o czwartej godzinie, po wyjściu z ministeryum.

Pobrali się oni przed miesiącem i Vallagnosc, po trzytygodniowym urlopie spędzonym z żoną na południu, objął na nowo swe obowiązki w biurze. Młoda małżonka miała już potężne kształty swej matki, a ciało nalane i jakby stężałe, skutkiem stanu małżeńskiego.

— Ależ to pani Desforges! — zawołała hrabina, wpatrując się w zajeżdżającą karetę.

— Doprawdy? — szepnęła pani Guibal — jak to, po tych wszystkich awanturach! Ona jeszcze musi opłakiwać pożar w *Quatre-Saisons*.

Rzeczywiście była to Henryeta. Spostrzegłszy te panie, przystąpiła wesoło, kryjąc swą porażkę pod swobodą światowego ułożenia.

— Chciałam przekonać się naocznie, co się tu dzieje. Najlepiej samej sądzić o rzeczach... nieprawda? O, my sobie zawsze sprzyjamy z panem Mouret, chociaż wścieka się, jak słyszę, odkąd wzięłam w opiekę ten współzawodniczący z nim magazyn... Co do mnie, jednej tylko rzeczy nie mogę mu darować, to jest, że nakłonił, wiecie panie, tego Józefa, żeby się ożenił z moją protegowaną, panną de Fontenailles.

— Jakto, pobrali się! — przerwała pani de Boves — ależ to okropne!

— Tak, moja droga — i zrobił to jedynie, żeby nas upokorzyć. Ja go znam. Chciał dać do zrozumienia, że panny z naszego świata na to się tylko zdadzą, żeby wychodzić za jego posługaczy.

Z coraz większem uniesieniem mówiła... Wszystkie cztery stały na chodniku, w miejscu gdzie się najwięcej tłoczono do magazynu. Powoli porywał je tłum: nie opierając mu się, weszły więc niejako bezwiednie, wśród głośniejszej rozmowy, aby się módz zrozumieć. Zapytywały jedna drugą, co się dzieje z panią Marty. Chodziła pogłoska, że mąż jej skutkiem gwałtownych scen domowych, dostał obłąkania. Zdawało mu się, że jest wielkim panem, że pełnemi garściami czerpie w skarbach ziemi, że wyzyskuje kopalnie złota, ładuje na wozy dyamenty oraz inne drogie kamienie.

— Biedny człowiek, — rzekła pani Guibal — on, co był zawsze tak licho odziany i taki pokorny? A żona?

— Zjada teraz wujaszka, który zostawszy wdowcem zamieszkał przy niej... Zresztą musi tu być, zobaczymy ją; — powiedziała Henryeta.

Te panie osłupiały z zadziwienia zaraz na pierwszym kroku, ujrzawszy przed sobą najobszerniejsze magazyny w świecie całym, jak opiewały reklamy. Wielka centralna galerya sięgała obecnie z końca w koniec, od ulicy Dziesiątego Grudnia do ulicy Neuve-Saint-Augustin; na prawo zaś i na lewo, jakby dwie boczne nawy ko-

ścioła, węższe już galerye Monsigny i Michodière, ciągnęły się także wzdłuż tych dwóch ulic, bez przerwy. Gdzie niegdzie halle tworzyły szerokie place, pośród metalicznego wiązania schodów zawieszonych w powietrzu i wiszących mostów. Urządzenie wewnętrzne zmieniono na opak; teraz towary wyszłe z mody były na ulicy Dziesiątego Grudnia, jedwabie w środku, a w głębi rękawiczki zajmowały hallę Saint-Augustin. Z nowego paradnego przedsionka, podniósłszy oczy, spostrzegano zawsze skład pościeli, przeniesiony z jednego końca galeryi na drugi. Oddziałów było aż pięćdziesiąt; niektóre zupełnie nowe, tegoż dnia poraz pierwszy otwarte; inne przepołowione dla ułatwienia sprzedaży. Ze względu na coraz szerszy zakres obrotów handlowych, personel na ten nowy sezon, wynosił: trzy tysiące czterdzieści pięć osób.

Nasze panie zaraz na wstępie zdumione zostały wspaniałym widokiem wielkiej wystawy białych towarów. Dokoła nich były najwpierw halle oszklone, z posadzką mozaikową, gdzie tanie towary zatrzymywały żarłoczny tłum. W dali ginęły galerye olśniewająco białe, przestrzenie oblane jakby zorzą północną, cała kraina pod śniegiem, stepy bez końca, pokryte gronostajami; nagromadzenie lodowców, pałających od promieni słońca. Była to ta sama białość, co w oknach, ale żywsza, kolosalna, paląca się w całej nawie białym płomieniem rozszalałego pożaru. Wszyst-

ko tam było białe: wybrano z każdego oddziału, co tylko miał białego; wyglądało to jak wyuzdanie białości, jak słońce białe, którego nieruchomy blask tak oślepiał zrazu, że niemożna było rozeznać szczegółów, pośród tej ogólnej bieli. Po chwilce oczy się oswajały: na lewo w galeryi Monsigny, ciągnęły się wzgórza białe z płócien i perkali, skały białe z prześcieradeł, ręczników i chustek do nosa; podczas gdy w galeryi Michodière, na prawo, zajętej przez norymberszczyznę, wyroby pończosznicze i wełniane, urządzono różne białe gmachy z guzików z masy perłowej, wielkie dekoracye ze skarpetek białych, całą salę pokrytą bają białą i oświeconą zdaleka snopem światła. Lecz główne jego ognisko pałało w galeryi centralnej, w oddziałach wstążek, chusteczek, rękawiczek i jedwabnych materyj. Dokoła cienkich kolumn żelaznych, wznosiły się bufy z muślinu białego, przewiązane gdzie niegdzie fularem białym. Wschody ubrane były draperyami z białej piki i lekkiej bawełnianej materyi, które na przemiany obwijały się dokoła poręczy i otaczały halle aż do drugiego piętra. Tej piętrzącej się coraz wyżej białości, wyrastały skrzydła i unosiła się jakby stado łabędzi. Z sufitu spadała też białość, jakby rozlatujący się puch, jak duże płaty śniegu: kołdry białe, kapy białe powiewały w powietrzu niby chorągwie w kościele. Długie pasy z gipiury podobne były do rojów białych motyli nieruchomych, lecz wydają-

cych cichy szmer. Koronki drgały wszędzie, snuły się jak pajęczyna w dzień jesienny, napełniając powietrze swem tchnieniem białem. Największy cud, ołtarz, na którym składano cześć tej białości, znajdował się ponad jedwabiami w wielkiej balli: był to namiot z firanek białych, spadających z górnego oszklenia. Muśliny, gazy, wykwintne gipiury, spływały lekkiemi falami, podczas gdy tiule haftowane, bardzo kosztowne i sztuki materyi wschodniej lamowane srebrem, stanowiły tło tej dekoracyi olbrzymiej, przypominającej zarazem świątynię i alkowę. Wyglądało to jak wielkie łoże białe, dziewicze, oczekujące, jak mówi legenda, przybycia białej księżniczki, która ma kiedyś przyjść wszechwładna, w białej zasłonie oblubienicy.

— To coś nadzwyczajnego, coś niewidzianego! powtarzały damy.

Nie mogły się dosyć nasłuchać tej pieśni białości, śpiewanej przez towary całego magazynu. Mouret jeszcze nic nigdy nie stworzył na tak szeroką skalę; był to błysk geniuszu jego do urządzania wystaw. Wśród nawału tych białości i pozornego nieładu tkanin, które jakby spadały tam na chybił trafił z opróżnionych półek, była jednak fraza harmonijna, białość została przeprowadzona w różnych tonach; zradzała się, rosła, rozkwitała, ze skomplikowaną orkiestroneją mistrzowskiej fugi, której stopniowy rozwój, porywał dusze coraz szerszym lotem. Była tam tylko

białość, ale coraz inna; wszystkie białości wznosiły się jedna nad drugą, kłóciły się z sobą, dopełniały się, świeciły żywym blaskiem. Zaczynało się to od matowej białości perkali i płócien, od przyćmionej białości flaneli i sukna; potem następowały aksamity, atłasy, wzrastająca, ożywiająca się zwolna gama białości, która się kończyła płomykami w zgięciach fałd. Białość wzlatując w przejrzystości firanek, stawała się wyzwolonem światłem w muślinach, gipiurach, koronkach i tiulach tak lekkich, iż stanowiły najwyższą niknącą nutę; podczas kiedy srebrny haft jedwabnych materyj wschodnich, śpiewał najgłośniej w głębi tej olbrzymiej alkowy.

Magazyny tymczasem wrzały coraz większem życiem; tłoczono się przy windach, w bufecie i w czytelni. Całe rzesze odbywały wędrówki po tych śnieżnych obszarach. Tłum wydawał się czarny; podobny był do łyżwiarzy na jeziorach, w miesiącu grudniu. Na parterze widniało ciemne falowanie podsycane przypływem, wśród którego nic się nie wyróżniało, prócz delikatnych i zachwyconych twarzy kobiet. Przez ażurowe wyrzynania poręczy schodów i wiszących mostów, ukazywały się maleńkie postacie, jakby zbłąkane pośród cyplów śnieżnych. Wobec tych wyżyn ściętych lodem, przejmował duszący upał cieplarniany. Szmer głosów przybierał szum potężnej rzeki, wylewającej się z brzegów. Na suficie przeciążenie złoceń, szyby w złoty de-

seń i złote rozety, wydawały się snopem promieni słonecznych, spadających na Alpy tej wielkiej wystawy białości.

— Trzeba jednakże iść dalej, — odezwała się pani de Boves — nie możemy przecież tu pozostać.

Od chwili kiedy weszła, inspektor Jouve stojący przy drzwiach, nie spuszczał jej z oczu. Skoro się obróciła, wejrzenia ich spotkały się. Potem kiedy się zapuściła głębiej, poczekawszy trochę, żeby się dać wyprzedzić, szedł zdaleka udając, że już nie zwraca na nią uwagi.

Pani Guibal zatrzymawszy się przy pierwszej kasie, gdzie się gwałtownie tłoczono i potrącano, zawołała:

— Jaki to ładny pomysł, te fiołki!

Mówiła ona o nowem premium *Bonheur*, pomyśle Moureta, o którym trąbiły wszystkie dzienniki: były to bukieciki z białych fiołków, których tysiące zakupiono w Nizzy i rozdawano klientkom za najmniejszy nawet sprawunek.

Przy każdej kasie chłopcy w liberyi rozdawali te premia, pod nadzorem jednego z inspektorów. Zwolna cała klientela rozkwitła, magazyny zapełniły się temi bukiecikami leśnemi, kobiety roznosiły przenikającą woń kwiatów.

— Prawda, to dobry pomysł; — rzekła pani Desforges, głosem, w którym zazdrość przebijała.

Lecz w chwili, kiedy te panie chciały pójść dalej, usłyszały dwóch subiektów strojących żarty z tych fiołków. Jeden wysoki, chudy, okazywał zadziwienie: więc przychodzi do skutku małżeństwo pryncypała z tą małą, Starszą w oddziale kostiumów? Drugi zaś nizki i tłusty odpowiedział, że nikt tego nie wie, ale kwiaty są w każdym razie kupione.

— Jakto! — rzekła pani de Boves — pan Mouret żeni się?

— Pierwszy raz słyszę; — odpowiedziała Henryeta udając, że jej to obojętne; — zresztą, trzeba przecież na tem skończyć.

Hrabina żywo porozumiała się ze swą nową przyjaciołką; obie pojęły, dlaczego pani Desforges wybrała się do *Bonheur*, pomimo głośnego zerwania. Pewno uczuła niezwalczoną potrzebę zobaczyć i cierpieć.

— Zostanę z panią; -- rzekła pani Guibal, w której rozbudziła się ciekawość. Zejdziemy się z panią de Boves w czytelni.

— Bardzo dobrze; — odezwała się ta ostatnia. Ja mam interes na pierwsze piętro. Chodź Bianko.

Gdy się wybrała na górę wraz z córką, inspektor Jouve, puścił się w ich ślady, tylko innemi schodami, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Tamte dwie panie zginęły w tłumie zalegającym parter.

We wszystkich kantorach, pomimo panującego tam zgiełku przy sprzedaży, jak zwykle, o ni-

czem nie mówiono, tylko o miłostkach pryncypała. W sprawie tej, zajmującej od kilku miesięcy subiektów, zachwyconych długim oporem Dyonizy, nagle nastąpiło kryzys: w wigilią tego dnia dowiedziano się, że pomimo zaklęć Moureta opuszcza ona magazyn, pod pozorem wielkiej potrzeby wypoczynku. Odkryło się pole do domysłów: pojedzie czy nie pojedzie? Zakładano się w oddziałach o sto sous, na następną niedzielę. Żartownisie proponowali zakład o śniadanie w dzień ich ślubu; jednakże i ci co wierzyli w odjazd, nie ryzykowali pieniędzy lekkomyślnie. Wprawdzie panna ma za sobą siłę uwielbianej lecz opierającej się osoby, ale pryncypał znowu ma bogactwa, swobodę wdowieństwa i dumę, która może go doprowadzić do ostateczności, w razie zbyt wielkich wymagań. Tak jedni jak i drudzy w tem się zgadzali, że ta mała poprowadziła rzecz, jakby genialna awanturnica i stawia teraz wszystko na kartę, mówiąc: żeń się, albo cię porzucę.

Jednakże Dyoniza wcale nie myślała o tych rzeczach; nie miała nigdy ani wymagań, ani wyrachowania. Właśnie z powodu sądów o jej postępowaniu, które ją ciągle dziwiły, widziała konieczność wyjechania. Alboż ona chciała tego wszystkiego? czy się okazywała przebiegłą, zalotną, lub żądną wywyższenia? Poprostu zażądała tam pracy, nic więcej; sama się dziwiła, że ją można tak kochać. Dla czegóż i dziś jeszcze upatrują w tem wybieg, że postanowiła opuścić

Bonheur. Wszakże to takie naturalne. Wpadła nareszcie w rozstrój nerwowy, w silne rozdrażnienie, pośród tych coraz nowych plotek, palących nalegań Moureta i walk staczanych z sobą. Wolała oddalić się, z obawy aby nie uległa kiedy, czegoby potem całe życie żałowała. Czy to się nazywa zręczną taktyką, niewiedziała i zapytywała siebie z rozpaczą: jak ma postąpić, aby jej nie posądzano, że się ubiega o męża. Myśl wyjścia za Moureta drażniła ją obecnie; postanawiała odpowiadać mu „nie" i „nie" bez końca „nie", gdyby do tego posunął swój szał. Ona jedna powinna cierpieć. Konieczność rozłączenia się do łez ją pobudzała; lecz ze zwykłą odwagą, powiedziała sobie: tak potrzeba, jeżeli inaczej postąpię, nie doznam nigdy spoczynku ani radości.

Gdy się odezwała do Moureta z prośbą o dymisyę, pozostał niemy i jakby zimny, skutkiem wysileń, by się nie zdradzić. Potem oznajmił sucho, że jej pozostawia tydzień czasu do namysłu, zanim pozwoli, żeby popełniła taką niedorzeczność. Skoro po upływie tego tygodnia oznajmiła, że się chce stanowczo oddalić zaraz po wielkiej sprzedaży, nie uniósł się, tylko usiłował przemówić do jej rozsądku, dowodząc, że sobie psuje karyerę, że nigdzie nie znajdzie takiej pozycyi, jaką u niego zajmuje. Czy ma na widoku inne zajęcie? gotów w takim razie zapewnić jej korzyści, jakich się gdzieindziej spodziewa. Odpowiedziała

mu na to, że innego zajęcia dotąd nie szukała i że chce w Valognes odpoczywać cały miesiąc, dzięki sumie, jaką zaoszczędziła. Pytał, coby jej przeszkadzało wrócić do Bonheur, jeżeli je tylko przez wzgląd na zdrowie porzuca; milczała, brana na męki tego badania. Przyszło mu więc na myśl, że tam jedzie do kochanka, może do męża... Alboż nie wyznała pewnego wieczoru, że kogoś kocha? Od tego czasu zeznanie wymuszone na niej w chwili gdy cała jej istota była wzburzoną, tkwiło mu jak ostry nóż w sercu. Jeżeli ten człowiek ma ją poślubić — porzuca wszystko, żeby wyjść za niego i ztąd jej opór. Czując, że wszystko pomiędzy nimi skończone, głosem lodowatym oświadczył, że już jej nie zatrzymuje, kiedy nie może wyjawić prawdziwych powodów, zmuszających ją do odjazdu. Ta rozmowa dotkliwa choć nie gniewna, wzburzyła ją więcej, niżby tego dokazała gwałtowna scena.

W ciągu tygodnia jaki Dyoniza musiała przepędzić jeszcze w magazynie, Mouret zachował swą surową bladość. Przechodząc przez oddziały udawał, że jej nie widzi; nigdy się nie okazywał tak swobodnym, tak pogrążonym w pracy. Zakłady wznowiły się; tylko odważniejsi ryzykowali śniadanie w razie wesela. Jednakże pod tą oziębłością, tak niezwyczajną u niego, Mouret krył okropne męki wahania się i cierpień; widział wszystko czerwono. Wściekłość krwią zalewała mu mózg; postanawiał porwać Dyonizę

w objęcia i zatrzymać tłumiąc jej krzyki. Potem znów chciał trafić do rozsądku, wyszukiwał sposobów praktycznych, żeby jej niedozwolić wyjść za próg; ale się ciągle potykał o swą niemoc, wściekając się, że nie może zrobić użytku ani ze swej siły, ani z pieniędzy. Pośród tych szalonych pomysłów jedna ideja wzrastała i narzucała mu się, chociaż buntował się przeciw niej. Po śmierci pani Hédouin, poprzysiągł nie żenić się; zdobywszy powodzenie, dzięki jednej kobiecie, postanowił sobie robić odtąd fortunę wyzyskując wszystkie kobiety. Miał on ten przesąd, co Bourdoncle, że prynoypał wielkiego Magazynu Nowości powinien być bezżenny, jeśli chce zachować swą męzką królewskość nad różnorodnemi żądaniami całej rzeszy swych klientek. Wprowadzenie kobiety, zmienia atmosferę, wypędza ona inne wonie, wnosząc swoją własną. Opierał się niezwalczonej loice faktów; wolał umrzeć, niż ustąpić. Porwany był nagłym gniewem przeciw Dyonizie, czując, iż ona jest odwetem. Bał się paść zwyciężonym na swych milionach, złamany jak słomka przez *l'éternel féminin*, w dzień kiedy ją zaślubi. Powoli miękł znowu, roztrząsał swoje wstręty: czego się lękać? ona tak łagodna, rozsądna, że można jej się oddać bez obawy. Dwadzieścia razy na godzinę wznawiała się ta dręcząca walka. Pycha drażniła ranę; tracił szczątki zdrowego rozsądku, myśląc, iż nawet po tym dowodzie uległości, gotowa odpowiadać „nie" i „nie",

jeżeli kocha innego. Zrana, w dzień wielkiej wyprzedaży, nie powziął jeszcze żadnego postanowienia, a Dyoniza miała odjechać nazajutrz.

Właśnie gdy Bourdoncle tego dnia wszedł, według zwyczaju, do gabinetu Moureta, o godzinie trzeciej, siedział z opartemi łokciami na biurku i rękami zasłaniał sobie oczy; tak był zamyślony, że Bourdoncle musiał dotknąć jego ramienia. Podniósł wówczas twarz zalaną łzami; spojrzeli na siebie, ręce ich się wyciągnęły i nastąpił silny uścisk dłoni tych dwu ludzi, którzy stoczyli tyle walk na polu handlowem. Od miesiąca Bourdoncle, zmienił zresztą zupełnie swe postępowanie; uginał się przed Dyonizą, a nawet nieznacznie skłaniał pryncypała do ożenienia się. Bezwątpienia działał w ten sposób przez obawę, żeby go nie usunęła siła, którą uznawał już za wyższą; ale prócz tego, w głębi tej przemiany znaleźć by można przebudzenie się dawnej ambicyi, nadziei nieśmiałej lecz rozwijającej się zwolna, że zdławi Moureta, przed którym od tak dawna ugina karku. Panowało to w powietrzu tego domu, w tej walce o byt, której ciągłe rzezie, wzmagały dokoła niego sprzedaż. Był on porwany wirem maszyny, opanowany żądzą innych, żarłocznością, która od dołu do góry, rzucała chudych na pastwę tłustym. Jedynie tylko jakaś uroczysta trwoga, cześć dla powodzenia, powstrzymywała go od pokazania zębów. Teraz zaś pryncypał chciał popełnić dzieciństwo; blizki był niedorzecz-

nego ożenienia się; chciał się pozbawić czaru i wyrzec się uroku wywieranego na klientki. Dlaczegoż miał go odwracać od tego, kiedy będzie mógł tak łatwo objąć spadek po nim gdy przepadnie w objęciach tej kobiety. Dla tego też ze wzruszeniem, jak gdyby go żegnał, z litością starego kolegi, ściskał rękę pryncypała, powtarzając:

— Śmiało, naprzód! Cóż u dyabła!... Ożeń się z nią i niechaj się to już skończy.

Lecz Mouret wstydził się już chwilowego zapomnienia; podniósł się więc i rzekł broniąc się:

— Nie, nie, byłoby to za głupio... Obejdźmy teraz magazyny. Jest ruch, nieprawda? Zdaje mi się, iż to będzie świetny dzień.

Wyszli i rozpoczęli przegląd popołudniowy, w oddziałach przepełnionych tłumem. Bourdoncle z ukosa spoglądał nań, przelękniony tym ostatnim wybuchem energii. Przyglądał się jego ustom, żeby pochwycić najmniejsze drgnienie boleści.

Sprzedaż rzeczywiście szła siarczyście; cały magazyn drgał i wstrząsał się, jakby wielki okręt płynący całą siłą pary. Do sali Dyonizy cisnęły się tłumnie matki z gromadkami dziewcząt i chłopaków, tonących tam pod stosami przymierzanych im ubrań. Wyładowano cały zapas białych kostiumów; tam jak wszędzie, była to orgia białości, zapas dostateczny, żeby przyodziać całe grono zziębniętych Amorków. Były paltociki

z białego sukna, sukienki z piki, z nankinu, z białego kaszmiru, nawet białe kostiumy marynarskie i żuawskie. Pośrodku, dla ozdoby, chociaż było to jeszcze nie na czasie, urządzono wystawę kostiumów do pierwszej komunii: sukienki i zasłony z białego muślinu, oraz białe atłasowe trzewiczki; był to niejako ogromny bukiet niewinności i naiwnego zachwytu. Pani Bourdelais, stała przed trojgiem swoich dzieci, usadowionych według starszeństwa na krzesłach: Magdaleną, Edmundem i Lucyanem, gromiła najmłodszego, który się ciągle wyrywał, kiedy Dyoniza chciała nań włożyć żakietkę z białego *mousseline de laine.*

— Siedźże spokojnie!... Jak się pani zdaje, czy nie będzie trochę za ciasna?

Bystrem okiem kobiety, niedającej się oszukać, rozpatrywała ona materyał, przyglądała się fasonowi i wywracała szwy.

— Nie, dobrze leży; — mówiła dalej — to nie lada zadanie ubrać dziatwę... Potrzebowałabym jeszcze płaszczyka dla tej dużej panny.

Dyoniza musiała wziąść się do sprzedaży, skutkiem napływu klienteli; szukając więc żądanego płaszczyka, nagle wydała okrzyk zadziwienia:

— Jakto! ty! Cóż się stało?

Brat jej Jan z paczką w ręku, stał przed nią. Od tygodnia był już żonatym, a w sobotę jego żona mała śliczna brunetka, chociaż rysy miała nieregularne, spędziła długi czas w Magazynie

Nowości, robiąc sprawunki. Młode małżeństwo miało towarzyszyć Dyonizie do Valognes: była to prawdziwie weselna podróż, ten miesiąc wakacyjny, spędzony wśród wspomnień przeszłości.

— Wystaw sobie — powiedział — Teresa porobiła różne pomyłki; niektóre rzeczy trzeba odmienić a inne kupić. Ponieważ są pilno potrzebne, przysłała mnie z tą paczką... wytłomaczę ci...

Lecz Dyoniza nie dała mu dłużej mówić, ujrzawszy Pépé.

— Jakto i Pépé tu! a szkoła?

— Przyznam ci się, że wczoraj, jako przy niedzieli, nie miałem odwagi odprowadzić go po południu; ale pójdzie dziś wieczór. Biedak dosyć ma już zmartwienia, że będzie tu siedział zamknięty w Paryżu, podczas kiedy my bujać tam będziemy.

Dyoniza uśmiechała się do nich, pomimo swych trosk. Powierzywszy panią Bourdelais, jednej ze sklepowych, cofnęła się z braćmi w kącik oddziału, który na szczęście jakoś się opróżnił.

Malcy, jak ich dotąd nazywała, wyszli już na tęgich zuchów: dwunastoletni Pépé, był od niej wyższy i tęższy; zawsze jednako milczący i żądny pieszczot; miał słodką i potulną minkę w swej bluzie szkolnej: Jan, szeroki w plecach, przerósł ją o całą głowę i nie przestał się odznaczać piękną kobiecą główką z włosami blond, rozrzuconemi według mody artystów robotników. Co do niej, choć wątła jak ptaszyna, według jej własne-

go wyrażenia, zachowała względem nich macierzyńską troskliwość i powagę; traktowała ich jak malców, nad którymi trzeba czuwać. Zapinała surdut Janowi, żeby przyzwoitszą miał minę i patrzyła, czy Pépé ma czystą chustkę do nosa. Owego dnia, widząc, że ma zapłakane oczy, łajała go trochę:

— Bądźże rozsądny, mój chłopcze — rzekła. — Nie można przerywać nauk, zabiorę cię na wakacye. Czy miałbyś na co ochotę? Powiedz,—wolisz trochę pieniędzy?

Potem odezwała się znowu do Jana:

— Bo też zawracasz mu głowę; myśli, że się tam będziemy bawić! Powinniście obaj być rozsądniejsi.

Dała ona starszemu bratu cztery tysiące franków, połowę swych oszczędności, na zaprowadzenie gospodarstwa; młodszy zaś grubo ją kosztował w szkołach. Wszystkie pieniądze, jak dawniej, na nich wydawała. Stanowili jedyny cel jej życia i pracy, bo na nowo przysięgła sobie, że nigdy nie pójdzie za mąż.

— Patrz—rzekł Jan—jest w tym pakiecie paltot hawanna, który Teresa...

Nagle zamilkł: Dyoniza obróciwszy się, żeby zobaczyć, co go spłoszyło, spostrzegła Moureta stojącego po za nimi. Od niejakiej chwili przypatrywał się tej mateczce, która stojąc pomiędzy dwoma zuchami, to ich gromiła, to ściskała i obracała nimi, jak kiedy się dzieciom zmienia bieli-

znę. Bourdoncle stał na uboczu i udając, że się bacznie przygląda wirowi sprzedaży, nie tracił jednak z oczu tej sceny.

— Wszak to są bracia pani?—zapytał po krótkiem milczeniu.

Zachował on lodowaty głos i sztywność, z jaką do niej obecnie przemawiał. Dyoniza również siląc się żeby pozostać zimną, odpowiedziała bez uśmiechu.

— Tak, panie; starszego ożeniłam i żona posyła go właśnie po sprawunki.

Mouret wciąż patrzał na całą trójkę; nakoniec rzekł:

— Młodszy znacznie urósł. Poznaję go; przypominam sobie, żem go widział w Tiuleriach, jednego wieczoru razem z panią.

Głos jego stawał się zwolna mniej martwym i słychać w nim było lekkie drżenie. Ona dławiąc się łzami, pochyliła się, żeby poprawić pasek małemu Pépé. Obaj bracia z rumieńcem na twarzy, uśmiechali się do pryncypała swej siostry.

— Podobni są do pani — dodał.

— O! daleko ładniejsi odemnie!—wykrzyknęła.

Przez chwilę zdawał się porównywać ich twarze, lecz uczuł, że go całkiem siły opuszczają. Jak ona ich kocha! pomyślał i odszedł kilka kroków. Potem wrócił i szepnął jej do uchu:

— Proszę wstąpić do mego gabinetu po sprzedaży. Chciałbym z panią rozmówić się, zanim odjedziesz.

Tym razem oddalił się i rozpoczął na nowo swój przegląd. Walka znów się rozpoczęła, bo ta naznaczona schadzka drażniła go teraz. Jakiemuż popędowi uległ, ujrzawszy ją z braćmi? To było szaleństwem; kiedy stracił siłę panowania nad swą wolą. Ale może się ograniczyć na pożegnalnem słowie. Bourdoncle, który się doń zbliżył, zdawał się spokojniejszym, nie przestając go jednak badać z pod oka.

Dyoniza powróciła do pani Bourdelais:

— A cóż, płaszczyk nada się?

— Bardzo dobry... ale dosyć na dzisiaj. Ta dziatwa, to nasza ruina.

Widząc, że się może oddalić, Dyoniza wysłuchała objaśnień Jana: potem oprowadzała go po oddziałach, gdzie z pewnością straciłby głowę. Najprzód załatwiła się z paltotem hawanna, który Teresa chciała zamienić na inny, z białego sukna, tej samej miary i tymże fasonem: potem wziąwszy paczkę, poszła z braćmi do konfekcyj.

Oddział wystawił ubrania w bladych kolorach, żakiety i mantyle letnie, z lekkich jedwabnych i wełnianych tkanin fantazyjnych. Lecz sprzedaż kipiała gdzieindziej, tu zaś stosunkowo było mało klientek. Prawie wszystkie sklepowe były świeżo przyjęte. Klara od miesiąca znikła — porwana, według jednych przez męża z klientek, według innych, oddana ulicznej rozpuście. Małgorzata zamierzała wrócić do Grenobli, dla objęcia małego sklepu i poślubienia kuzyna. Jedna tylko

pani Aurelia pozostawała niezmiennie na miejscu, obciśnięta jak pancerzem w swoim jedwabnym staniku, z twarzą, która przybrała żółtawy kolor antycznego marmuru. Jednakże złe prowadzenie się Alberta, podkopywało jej siły i byłaby się przeniosła na wieś, gdyby nie szczerby porobione w oszczędnościach przez tego łotra, tak szalenie rozrzutnego, że łatwo było przewidzieć, iż roztrwoni po kawałku całą posiadłość des Rigolles. Było to niejako odwetem za poniewieranie domowego ogniska; matka bowiem oddawała się na nowo wesołym wycieczkom w towarzystwie kobiet, ojciec zaś ze swej strony, zajęty był wygrywaniem na trąbce. Bourdoncle już zaczął niechętnem okiem patrzeć na panią Aurelię, znajdująo ją za starą na sklepową i dziwiąc się, że nie ma dosyć taktu, żeby się podać do dymisyi. Odgłos pogrzebowego dzwonu, wkrótce miał zagrzmieć nad dynastyą Lhomme'ów.

— Ach, to pani... -- powiedziała do Dyonizy z przesadną grzecznością. — Chcesz zamienić paltot. Ależ natychmiast... to bracia twoi? Prawdziwi już z nich mężczyzni.

Pomimo swej pychy, była gotową klęknąć, żeby ją sobie zjednać. W sali konfekcyj, zarówno jak w innych oddziałach, o niczem nie mówiono, tylko o odjeździe Dyonizy; „Starsza" omal nie wpadła w chorobę, liczyła bowiem na protekcyę swej dawnej sklepowej. Zniżywszy głos, zapytała:

— Powiadają, że nas opuszczasz... czy to podobna?

— Tak, tak!—odpowiedziała Dyoniza.

Małgorzata przysłuchiwała się rozmowie: odkąd dzień jej ślubu był naznaczony, z większem jeszcze obrzydzeniem obracała dokoła swą twarz koloru zsiadłego mleka. Zbliżyła się, mówiąc:

— Masz pani zupełną słuszność; przedewszystkiem poszanowanie siebie, nieprawdaż? Proszę przyjąć serdeczne życzenia szczęśliwej podróży.

Nadchodziły klientki... pani Aurelia poprosiła ją więc szorstko, żeby się zajęła sprzedażą. Potem, gdy Dyoniza brała paltot, ażeby go sama „zwrócić", opierając się temu, zawołała pomocnicę. Był to nowy porządek, pomysłu Dyonizy, który Mouret wprowadził: dla ulżenia pracy sklepowym, dziewczęta były obowiązane nosić sprawunki.

— Proszę iść za panną—powiedziała „starsza", oddając jej paltot.

Do Dyonizy zaś rzekła:

— Rozważ to pani... wszystkie jesteśmy zrozpaczone twoim odjazdem.

Jan i Pépé, którzy czekali uśmiechając się pośród fali kobiet, poszli w ślad za siostrą. Obecnie wypadło im pójść do oddziału wypraw ślubnych aby dokupić sześć koszul do półtuzina jaki Teresa nabyła poprzedniego dnia. Ale w kantorze bielizny, gdzie białe towary zalegały jak śnieg wszystkie półki, taki był ścisk, że było coraz

trudniej przedostać się. W oddziale gorsetów panowało zamieszanie, tamujące wolne przejście. — Pani Boutarel, która przybyła z południowej Francyi, tym razem z mężem i z córką krążyła od rana po wszystkicch galeryach, robiąc wyprawę dla tej ostatniej, idącej właśnie za mąż. Radziły się ojca i naradom tym końca nie było. — Nakoniec wpadli do oddziału bielizny i podczas kiedy panna zagłębiła się w studyowaniu majtek, matka zginęła; przyszła jej bowiem chętka na gorset. Pan Boutarel, otyły sangwinik, pozostawił córkę i zaniepokojony poszedł szukać żony. Dowiedział się wprawdzie, że jest w salonie do przymierzania, ale poproszono, żeby raczył usiąść i zaczekać. Salony te, składały się z ciasnych celek, których drzwi były z szyb matowych, mężczyzn tam nie puszczano, nawet mężów, przez wygórowaną skromność dyrekcyi. Sklepowe szybko wchodziły i wychodziły budząc domysły, że po za drzwiami znajdują się kobiety w koszulach i spódnicach, z obnażoną szyją i ramionami: tłuste ze skórą białą i chude z żółtą jak stara kość słoniowa. Szereg mężczyzn oczekiwał na krzesłach z miną znudzoną. Pan Boutarel, zrozumiawszy co się dzieje, okropnie się rozgniewał i krzyczał, że chce zobaczyć swoją żonę, że chce widzieć co tam robi i niepozwoli, by ją rozbierano po za jego oczami. Napróżno usiłowano go uspokoić; zdawało się, iż przypuszcza coś nieprzyzwoitego.

Pani Boutarel zmuszoną była pokazać mu się. — Cały tłum roztrząsał ze śmiechem tę sprawę.

Nakoniec Dyoniza zdołała przecisnąć się, wraz z braćmi. Cała kobieca bielizna: spody białe, które się zwykle chowają, wystawioną była w szeregu sal, podzielonych na różne oddziały. Gorsety i turniury, zajmowały jeden kantor, gorsety pancerze; a nadewszystko gorsety z białej jedwabnej materyi z haftem kolorowym, z których tego dnia urządzono specyalną wystawę. Była też cała armia manekinów bez głów i nóg, torsów samych, samych szyj jak u lalki spłaszczonych, chorobliwie pod materyą. Nieopodal na innych kijach znajdowały się turniury z włosienia i z brylantyny, których profile nienaturalnie wydęte na kijach od szczotek do zamiatania, były karykaturalnie nieprzyzwoite. Zaraz potem zaczynały się powabne negliże, zapełniając tak rozległą salę, jak gdyby cała rzesza pięknych dziewcząt we wszystkich salach rozebrała się aż do atłasowej nagości. Tu były mankietki, białe krawatki, chusteczki, kołnierzyki i nieskończona rozmaitość drobiazgów ozdobnych, biała piana, która wyrwała się z pudeł i piętrzyła jak śnieg. Dalej kaftaniki, staniczki, szlafroczki, penioary z płótna, z nansuku, z koronek; długie powłóczyste ubrania, luźne a wązkie, w których czuć było ranne leniwe przeciąganie się, po miłośnie spędzonym wieczorze. Spódnice piętrzyły się, spadając jedne na drugie: spódnice białe różnych długości, spó-

dnice związujące kolana, spódnice z ogonami, których treny okrywały podłogę. Morze spódnic przybierające, w którem nogi tonęły. Majtki były z płótna i z piki, szerokie, białe majtki, w których tańczyłyby biodra męzkie. Nakoniec koszule mocno zapinane na guziki u szyi, dzienne odkrywające piersi i trzymające się tylko na lekkich naramiennikach: z prostego perkalu, z płótna irlandzkiego, z batystu, ostatnia obsłona biała, spływająca od szyi wzdłuż bioder. W sali wypraw ślubnych panowała niedyskrecya... przedstawiano tam kobietę, poczynająo od mieszczki, ubierającej się w gładkie płótno, aż do bogatej damy, otulonej w koronki; była to alkowa otwarta, której ukryty przepych: fałdki *Valenciennes* i hafty, stanowiły coś w rodzaju wyuzdania zmysłowego, w miarę jak dochodziły do coraz kosztowniejszych wymysłów. Kobieta ubierała się tu na nowo... biała fala tej całej bielizny kryła się napowrót w drgającej tajemniczości spódnic. Koszula, która wychodzi sztywna z pod palcy szwaczki, majtki zimne i zachowujące składki, jakie w pudle przybrały, wszystek ten perkal i batyst martwy, rozrzucony na kontuarach, piętrzący się w stosach, miał nabrać życia od ciała ciepłego i pachnącego wonią miłości, ten biały obłok staje się nietykalnym, a najmniejsze jego poruszenie odkrywa różowe kolano, którego ukazanie się pośród białości, świat gubi. Była jeszcze jedna sala: wyprawek dla niemowląt, w której lubieżna

białość kobiety łączyła się z niewinną białością dziecięcia. Tam panowała niewinność i radość, oblubienica stająca się matką; były powijaki z barchanu, kaftaniczki flanelowe, koszulki i czapeczki małe jak cacka, sukienki do chrztu, płaszczyki kaszmirowe, puszek biały, podobny do deszczyku z piór białych.

— To są koszule ściągane — odezwał się Jan, któremu te negliże, te stosy gałganków, pomiędzy jakimi się obracał, rozkosz sprawiały.

W sali wyprawek, Paulina spostrzegłszy Dyonizę, przybiegła natychmiast. Nie czekając nawet żeby jej powiedziała, czego sobie życzy, z wielkiem przejęciem zaczęła jej po cichu opowiadać wieści obiegające po magazynach. W jej oddziale doszło do kłótni pomiędzy dwiema sklepowemi, z powodu, że jedna twierdziła, że odjedzie, druga zaś temu przeczyła.

— Prawda, że zostaniesz z nami? Ja głową ręczyłam za to. Cóżby się ze mną stało?

Kiedy zaś Dyoniza odpowiedziała, że odjeżdża nazajutrz,—przeczyła, mówiąc:

— Nie, nie, tak ci się zdaje; ale ja wiem, że tego nie zrobisz. Teraz kiedy mam dzieciątko, musisz mię zamianować drugą sklepową. Baugé liczy na to, moja droga.

Paulina uśmiechała się z miną pewną swego. Potem podała owych sześć koszul, a gdy się Jan odezwał, że teraz pójdą po chustki do nosa, przywołała pomocnicę, żeby zaniosła koszule i paltot

przez inną pozostawione. Służąca, która się stawiła na zawołanie, była to panna de Fontenailles, która niedawno wyszedłszy za Józefa, w drodze łaski otrzymała to miejsce. Miała na sobie obszerną czarną bluzę z cyfrą na ramieniu, wyszytą żółtą włóczką.

— Proszę iść za panną—powiedziała Paulina.

Powróciwszy, zapytała zniżonym głosem.

— I cóż? Jestem „podstarszą", nieprawda?

Dyoniza obiecała ze śmiechem, żartując także; poczem odeszła z Janem, Pépé i z pomocnicą. Na dole wpadli do oddziału tkanin wełnianych w głębi galeryi, pokrytego całkowicie białą bają i takąż flanelą. Liénard, którego ojciec napróżno powoływał do Angers, rozmawiał z pięknym Mignotem; zostawszy bowiem handlowym stręczycielem, śmiał on się zjawić w Magazynie Nowości. Zapewne rozmawiali o Dyonizie, bo gdy się zbliżyła umilkli, żeby ją powitać z czołobitnością. Zresztą gdy przechodziła przez oddziały, subiekci skwapliwie schylali się przed nią, niepomni co się nazajutrz z nią stać może. Szeptali dokoła o niej, wydawała się wszystkim tryumfującą. Zakłady na nowo się rozpoczęły, ryzykowano znowu wino z Argenteuil i bifszteki. Weszła do oddziału białych towarów ażeby się dostać do chustek od nosa, znajdujących się na samym końcu. Tu również następowały szeregi towarów różnej białości: *madapolamis*, lekkie bawełniane materye: piki i perkale; niciane: nansuki, muśliny, tarlatany;

potem ogromne stosy płótna ułożone w sześciany, jak kamień ciosowy: płótna grube, cienkie, wszelkiej szerokości, białe lub surowe, z czystego lnu, bielone na trawie; jeszcze dalej było to samo ale w osobnych oddziałach dla każdego rodzaju bielizny: domowej, stołowej, dla służby; ciągłe falowanie białości: prześcieradła, powłoczki, rozmaite odmiany serwet, obrusów, fartuchów i ścierek. Ukłony nie ustawały, ustępowano z drogi przed Dyonizą. Baugé przyskoczył, aby się uśmiechnąć jakby do królowej, rozciągającej łaskawą opiekę nad całym domem. Nakoniec przeszedłszy przez wystawę kołder, w sali przybranej w białe chorągwie, weszła do chustek od nosa, których dowcipnie obmyślany układ wabił gapiący się tłum, były to same kolumny białe, piramidy białe, pałace białe, skomplikowana architektura z chustek z linon, z batystu Cambrai, z płótna irlandzkiego; chustki chińskie jedwabne, znaczone, haftowane atłaskiem, obszyte koronkami, z obrąbkami ażurowemi i winietami. Całe miasto z białej cegły, nieskończenie urozmaicone, zarysowujące się jak miraż na wschodniem niebie, rozpalonem do białości.

— Chcesz jeden tuzin jeszcze? tak zwanych *Cholet*, nieprawda?—zapytała Dyoniza brata.

— Tak mi się zdaje; mają być takie same jak ta, co jest w paczce — odpowiedział pokazując chustkę.

Jan i Pépé nie oddalali się na chwilę, tulili się do niej, jak niegdyś, kiedy przybywszy do Paryża, wysiedli z wagonu, zmęczeni podróżą. Te rozległe magazyny, gdzie była jak u siebie, onieśmielały ich; kryli się więc w jej cieniu, oddając się opiece swej mateczki, pod wpływem budzącego się na nowo instynktu lat dziecięcych. Śledzono wzrokiem za nimi, śmiejąc się, że za tą szczupłą i poważną dziewczyną, idą krok w krok te dwa zuchy. Jan zakłopotany pomimo brody, a Pépé przestraszony, chociaż już w szkolnej bluzie. Wszyscy troje mieli jednakowe blond włosy; gdy przechodzili przez oddziały, powtarzano:

— To jej bracia.

Podczas kiedy gromadka szukała wolnego subiekta, nastąpiło spotkanie: Mouret i Bourdoncle wchodzili do galeryi i kiedy pierwszy z nich zatrzymał się naprzeciw Dyonizy, nic nie mówiąc do niej zresztą ani słowa, przesunęły się panie Desforges i Guibal. Henryeta powstrzymała dreszcze przechodzące ją po całem ciele. Spojrzała na Moureta i na Dyonizę; oni także na nią spojrzeli; było to nieme rozwiązanie, zwykły koniec dramatu sercowego: rzut oka zamieniony wśród tłumu. Mouret już się oddalił, a Dyoniza z braćmi nikła w głębi oddziału, ciągle poszukując wolnego subiekta. Wówczas Henryeta poznawszy pannę de Fontenailles, w stroju pomocnicy, z cyfrą żółtą na ramieniu, o zgrubiałej i pociemniałej cerze, właściwej służącym, — żeby

sobie ulżyć, rzekła do pani Guibal, rozdrażnionym głosem:

— Patrz, co on zrobił z tej nieszczęśliwej, czy to nie obelga? Markiza! a on ją zmusza, żeby szła jak pies, za dziewczętami, które bierze z ulicy!

Starała się być spokojną i nienaturalnie obojętnym tonem, dodała:

— Chodźmy zobaczyć ich wystawę materyj jedwabnych.

Oddział jedwabi wyglądał jak ogromny pokój, poświęcony miłości, — udrapowany biało, przez fantazyę rozkochanej piękności, chcącej ze śniegiem rywalizować białością. Wszystkie blado mleczne odcienia ukochanego ciała tam się znajdowały, poczynając od aksamitu bioder aż do delikatnego jedwabiu ud i do połyskliwego atłasu szyi. Sztuki aksamitu rozwieszono pomiędzy filarami; jedwabie i atłasy na tem białem śmietankowem tle, ułożone były w draperye białości metalowej i porcelanowej. Od arkad spuszczały się *poults de soie* i *siciliennes gros grain*, fulary i surahy lekkie, których odcienia przechodziły od matowej białości blondynki z Norwegii, do przejrzystej i rozgrzanej słońcem białości rudej Włoszki lub Hiszpanki.

Właśnie w tej chwili Favier mierzył biały fular dla tej eleganckiej blondynki, stałej klientki *Bonheur*, którą subiekci znali tylko pod mianem „pięknej damy". Od lat kilku bywała tam, je-

dnakże nic o niej nie wiedziano, ani adresu, ani nazwiska; zresztą żaden nie starał się dowiedzieć, chociaż ile razy się zjawiła, pozwalano sobie robić różne przypuszczenia, żeby mieć o czem pogawędzić. Raz im się zdawało, że schudła, drugi raz utyła; to się dobrze wyspała, to znów położyła się późno poprzedniego wieczoru. Najmniejszy fakt w jej życiu nieznanem, czy to zewnętrzne zdarzenie, czy dramat domowy, wszystko było na różne sposoby komentowane. Owego dnia, zdawała się bardzo wesołą, więc Favier, powróciwszy z kasy dokąd ją odprowadzał, rzekł do Hutina:

— Może wychodzi drugi raz za mąż.

— Alboż to wdowa?—zapytał tenże.

— Nie wiem; ale musisz sobie przypominać, że była ta kiedyś w żałobie. Chyba, że wygrała może na giełdzie.

Po krótkiem milczeniu, dodał:

— To jej rzecz zresztą i niepodobna interesować się wszystkiemi kobietami, co tu przychodzą.

Ale Hutin zamyślał się jakoś. W wigilię tego dnia, miał ostrą przeprawę z dyrekcyą i czuł się już skazanym. Nie wątpił, że go wydalą po wielkiej sprzedaży. Oddawna stanowisko jego było zachwiane; po ostatnim inwentarzu zarzucano mu, że sprzedaż w jego oddziale nie wynosiła sumy z góry zakreślonej. Była to jeszcze przedewszystkiem ta nieustanna żarłoczność, której padał ofiarą z kolei, — głucha walka oddziału, wyrzucająca go podczas zwykłego ruchu maszyny.

Widać w tem było tajemne działanie Faviera, podziemny zgrzyt jego zębów. Miał on przyobiecane miejsce starszego subiekta. Hutin, który wiedział o tem, zamiast spoliczkować dawnego towarzysza, przyglądał mu się, jako zręczniejszemu. Chłopiec tak zimny, z miną potulną, którego użył, żeby wysadzić Robineau i Bouthemonta! Budziło to w nim podziw i pewne poszanowanie.

— Ale! ale! — zawołał Favier, czy wiecie, że ona pozostaje. Widziano jak pryncypał spoglądał na nią znienacka. Przypłacę to butelką szampana.

Mówił o Dyonizie. Plotki przebiegały coraz żywiej z oddziału do oddziału, pomimo wzmagającej się fali klientek. Największe wzburzenie panowało w jedwabiach; tam też szły najgrubsze zakłady.

— Niech dyabli porwą! — wyrwało się Hutinowi, jak gdyby obudził się ze snu — trzebaż było być tak głupim i nie poromansować z nią!... Dopieroż to dziś byłbym *chic!*

Zaczerwienił się, widząc, że się Favier śmieje z jego przyznania i niby to śmiał się z nim razem; żeby wynagrodzić swoje głupstwo, dodał, że ta dziewczyna najbardziej mu zaszkodziła wobec dyrekcyi. Jakaś gwałtowna potrzeba wybuchu, parła go tak dalece, że zaczął strofować subiektów, roztargnionych w czasie największego napływu klientek. Lecz w tejże chwili uśmiechnął

się spostrzegłszy panią Desforges z panią Guibal, powoli przechodząc przez oddział.

— Pani dziś niczego nie zażąda?

— O, nie, dziękuję; — odpowiedziała Henryeta. Jak pan widzisz, przechadzam się tylko; przyszłam jedynie przez ciekawość.

Zatrzymawszy ją, zniżył głos. Nowy plan zaświtał mu w głowie. Pochlebiał jej, szkalował magazyn, mówiąc, że go ma już dosyć, że się woli oddalić, niż być świadkiem podobnego nieładu. Słuchała z zachwyceniem, chcąc go odebrać Mouretowi i obiecała postarać się, aby mu Bouthemont ofiarował miejsce starszego w oddziale jedwabi, po odrestaurowaniu magazynów *Quatre-Saisons*. Zawarli umowę, szepcąc bardzo cicho; Pani Guibal zaś przypatrywała się wystawom.

— Czy mogę ofiarować pani ten bukiecik fiołków? — zapytał głośno Hutin, wskazując na trzy czy cztery bukiety premiowe, w które się zaopatrzył u jednej z kas, dla robienia podarków.

— O co to, to nie! — wykrzyknęła Henryeta, cofając się żywo. Nie chcę należeć do weselnego orszaku.

Zrozumieli się i rozłączyli, śmiejąc się znowu i rzucając na siebie znaczące spojrzenia.

Pani Desforges, oglądając się za panią Guibal wykrzyknęła, ujrzawszy ją z panią Marty. Tę panią wraz z córką Walentyną, gnała od drugiej godziny przez różne oddziały gorączka wydatkowania, po której czuła się znużoną i zawstydzo-

ną. Przebiegła przez oddział mebli, który — wystawa sprzętów biało lakierowanych, przemieniła w obszerny panieński pokój; przez oddział wstążek i chusteczek, tworzący białą kolumnadę; oddział norymberszczyzny i pasmanteryi, z których wytworzona frendzla, okalała dowcipnie ułożone trofea z papierków z guzikami i paczek z igłami; oddział pończoszniczy, gdzie się duszono tego roku; aby się przypatrzeć olbrzymiej dekoracyi, mianowicie napisowi z liter wielkości trzech metrów *Bonheur des Dames*, ułożonemu ze skarpetek białych na tle ze skarpetek czerwonych. Ale najbardziej rozgorączkowały panią Marty nowe oddziały; w każdym świeżo otwartym musiała coś nabyć. Wpadała i kupowała bez najmniejszej potrzeby. Całą godzinę spędziła w oddziale mód, umieszczonym w nowym salonie na pierwszem piętrze. Kazała wypróżniać szafy; zdejmując kapelusze z podstawek palisandrowych, rozstawionych na dwu stołach, przymierzała sobie i córce wszystkie białe kapelusze, białe kapotki i białe toki. Potem udała się do szewckich wyrobów, w głębi dolnej galeryi, po za krawatkami, do kantoru tegoż dnia otwartego; poprzewracała tam witryny, opanowana chorobliwą żądzą na widok pantofelków jedwabnych białych, obszytych łabędzim puchem i bucików białych atłasowych, na wysokich obcasach à la Louis XV.

— Ach, moja droga, — bełkotała — nie możesz mieć wyobrażenia, jaki tam wielki dobór

kapotek! Wybrałam po jednej dla siebie i dla córki. A jakie buciki;—nieprawadaż Walentyno?

— Niezrównnane! — odezwała się panienka, ze śmiałością dojrzałej kobiety. Są tam buciki po dwadzieścia franków pięćdziesiąt centymów, zupełne buty!

Subiekt szedł za nią ciągnąc tradycyonalne krzesło, na którem zaczynał się już piętrzyć stos różnych sprawunków.

— Jak się ma pan Marty? — spytała pani Desforges.

— Zdaje mi się, że nieźle; — odpowiedziała zmieszana tem niespodziewanem pytaniem, złośliwie rzuconem wśród jej gorączki wydatkowania. Ciągle pozostaje tam; mój wuj miał go dziś odwiedzić.

Nagle przestała o tem mówić i wykrzyknęła w uniesieniu:

— Patrzcie! czy to nie zachwycające!

Panie te, postąpiwszy kilka kroków, ujrzały się przed nowym oddziałem kwiatów i piór, urządzonym w centralnej galeryi, pomiędzy jedwabiami i rękawiczkami. Pod żywem światłem oszklenia, ujrzały biały snop, wysoki i szeroki jak dąb. U stóp jego fiołki, konwalie, hyacynty i stokrotki, tworzyły kwaterę najdelikatniejszej białości. Powyżej były bukiety z róż białych i bladocielistych z ogromnych piwonij białych i lekko zabarwionych, z chryzantów białych z odcieniem żółtawym. Wyżej jeszcze wiel-

kie mystyczne lilie z zapachem, gałązki jabłoni w wiosennym rozkwicie, bez z rozkoszną wonią, sięgały aż do pierwszego piętra, do kit z piór strusich i z piór białych, które wydawały się lekkim tchnieniem białem, unoszącem się z tego ogrodu kwiatów białych. Cały jeden kąt zajęty był garniturami i wieńcami z kwiatu pomarańczowego. Były tam również kwiaty metalowe, ciernie i kłosy srebrne. Pomiędzy liśćmi i kielichami temi z muślinu, jedwaniu i aksamitu, z błyszczącemi kroplami z gumy, naśladującemi rosę, latały ptaszki z wysp, do kapeluszy: ponsowe Tangary z czarnym ogonem i Siedmiobarwniki z brzuszkami mieniącemi się, koloru tęczy.

— Kupię gałązkę jabłoni... nieprawda, że prześliczna? — powiedziała pani Marty... A ten mały ptaszek, patrzno Walentyno. O! wezmę go!

Panią Guibal drażniło to, że stoi nieruchomo wśród potrącającego tłumu, rzekła więc:

— Zostawiamy panią przy sprawunkach; my zaś idziemy na górę.

— Ale nie, zaczekajcie na mnie! — zawołała. Ja także tam idę. Na górze jest perfumerya. Muszę iść do perfumeryi!

Oddział ten również w wigilią otwarty, znajdował się obok czytelni. Pani Desforges dla uniknięcia ścisku panującego na schodach, zaproponowała użycie windy; lecz zmuszone były wyrzec się tej wygody, bo cały szereg oczekiwał u wejścia. Nakoniec dotarłszy do celu, przeszły

koło bufetu dla publiczności, gdzie się tak tłoczono, że inspektor zmuszony był powstrzymywać ten apetyt żarłocznych klientek, pozwalając wchodzić tylko małemi gromadkami. W bufecie poczuły już panie blizkość oddziału perfum: przenikający zapach saszecików, napełniał galeryę. Wydzierano sobie tam mydło *Bonheur*, specyalność magazynu. W witrynach, na kontuarach i na kryształowych półkach, stały szeregiem słoiki z pomadą, pudełka z pudrem i różem, flakony z ekstraktami i wodą toaletową; najrozmaitsze szczotki, grzebienie, nożyczki i flakoniki kieszonkowe, mieściły się w oddzielnej szafie. Subiekci wysilili się na pomysł udekorowania wystawy wszystkiemi słoikami z białej porcelany i flakonami z białego szkła. Co najbardziej zachwycało, to na środku sali fontanna srebrna, przedstawiająca pasterkę, stojącą na snopie kwiatów, zkąd ciągle wypływał cienki strumień wody fiołkowej, mile szemrzący w metalowej muszli. Wykwintny zapach wszędzie się rozchodził; damy przechodząc maczały swe chustki do nosa.

— Dosyć tego; — powiedziała pani Marty, obładowana wszelkiego rodzaju kosmetykami; już mam wszystko. Służę teraz paniom. Idźmy połączyć się z panią de Boves.

Lecz na przestanku wielkich centralnych schodów, zatrzymała je sala japońska: kantor ten został rozszerzony, od czasu kiedy Mouretowi przyszło na myśl postawić w tem samem miejscu

stolik z propozycyą, okryty mnóstwem wypełzłych cacek, nie przewidując, iż będzie miał tak niezwykłe powodzenie. Mało który oddział miał tak skromny początek; obecnie zaś przepełniony był staroświeckiemi bronzami, staremi wyrobami z kości słoniowej i z laki. Przynosił rocznie sto pięćdziesiąt tysięcy franków, poruszał krańce Wschodu, gdzie podróżnicy przetrząsali dlań pałace i świątynie. Zresztą, ciągle przybywały oddziały; sprobowano nawet otworzyć dwa nowe w grudniu, ażeby czemś zapełnić próżnię martwej pory zimowej; oddział książek i oddział zabawek dziecinnych, które również miały przed sobą przyszłość grożącą upadkiem sklepom sąsiednim. Czteroletni przeciąg czasu wystarczył, żeby japońszczyzna zagarnęła całą paryzką klientelę artystyczną.

Tu pani Desforges, pomimo swej urazy, wskutek której przysięgła sobie nic nie kupować, uległa pokusie i nabyła prześliczny wyrób z kości słoniowej.

— Proszę mi to przysłać; — powiedziała szybko w kasie sąsiedniej. Wszakże się należy dziewięćdziesiąt franków?

Ujrzawszy panią Marty z córką, zagłębione w wyborze porcelany, powiedziała uprowadzając panią Gulbal:

— Znajdziecie nas panie w czytelni; chciałabym usiąść na chwilę.

W czytelni jednakże musiały te panie stać; wszystkie krzesła były zajęte, dokoła ogromnego stołu zarzuconego dziennikami. Otyli mężczyzni czytali wystawiając brzuchy i przez myśl im nawet nie przeszło ustąpić miejsca damom. Niektóre z pań pisały wsunąwszy nos w papier, jakby chowając to co piszą pod kwiatami swoich kapeluszy. Pani de Boves tam nie było, Henryeta niecierpliwiła się więc... w tem ujrzała Vallagnosc'a szukającego żony i świekry. Ukłonił się i rzekł potem:

— Muszą być w sali koronek i nie mogą się ztamtąd oderwać. Pójdę zobaczyć.

Był on tak grzecznym, że im podał krzesła przed odejściem.

Przy koronkach zwiększał się tłok z każdą chwilą. Tam również tryumfowała białość wszelkich odcieni, najdelikatniejszych i najdroższych. Zaostrzona pokusa, szał pożądliwości panowały, obezwładniając wszystkie kobiety. Oddział ten został przemieniony w białą kaplicę: tiule i gipiury, spadając z góry, tworzyły białe niebo, ową zasłonę z obłoków, od których sieci przejrzystej, blednie poranne słońce. Dokoła kolumn wiły się falbany z *malines*, z *valenciennes* jak spódniczki tańczących baletniczek, rozwijały się, drgając białością, aż do ziemi. Prócz tego wszędzie i na wszystkich kontuarach leżała śnieżna białość: hiszpańskie blondyny, lekkie jak podmuch aplikacye brukselskie w duże kwiaty na drobnych

oczkach siatki, *points à l'aiguille* i *points de Venise* w cięższe wzory; *points d'Alençon* i koronki z Bruges, królewsko i niejako uroczyście bogate. Zdawało się, iż tam bożek gałganków rozpiął swój namiot biały.

Pani de Boves, uczuwszy, po długiej przechadzce z córką, pomiędzy wystawami, zmysłową potrzebę utopienia rąk w tkaninach, powzięła nareszcie zamiar zażądać, by jej Deloche pokazał *point d'Alençon.* Najwpierw wyjął on imitacyę; lecz kazała podać prawdziwe. Nie zadawalniając się wązkiemi po trzysta franków za metr, żądała szerokich falban po tysiąc franków, chustek i wachlarzy po siedemset i osiemset franków. Wkrótce kontuar okryty został całą fortuną.

W kącie oddziału inspektor Jouve, niespuszczający z oka pani de Boves, chociaż na pozór przechadzał się tylko, stał nieruchomy wśród potrącań — i nie dając tego poznać po sobie, ciągle miał na nią zwróconą uwagę.

— Masz pan berty z *point à l'aiguille*? — spytała hrabina Deloche'a — pokaż mi je, proszę.

Subiekt, którego trzymała od dwudziestu minut, nie śmiał odmówić ze względu na pańską minę, postać jej i głos książęcy. Jednakże zawahał się na chwilę, mając przykaz nie gromadzić naraz wiele drogich koronek: w poprzednim tygodniu dał się bowiem okraść na dziesięć metrów *malines.* Ale mu tak imponowała, że uległ i pozo-

stawił stos *point d'Alençon*, żeby zdjąć z pułki po za sobą, żądane berty.

— Patrz mamo, — powiedziała Bianka — przewracając obok niej w pudle pełnem niedrogich, wązkich *valenciennes* — można by to wziąść do powłoczek.

Pani de Boves nic jej nie odpowiedziała; zwracając ku niej swą nalaną twarz, spostrzegła, że matka zanurza ręce w koronkach i zgarnia do rękawa od płaszczyka falbany z *point d'Alençon*. Nie okazując zadziwienia, przysunęła się tylko instynktownie, żeby ją zasłonić sobą. Nagle Jouve stanął przed niemi i nachyliwszy się, szepnął hrabinie do ucha grzecznym głosem:

— Bądź pani łaskawą pójść za mną.

W pierwszej chwili gniewnie zapytała:

— Dla czegoż to, mój panie?

— Bądź pani łaskawą, pójść za mną; — powtórzył inspektor, niepodnosząc głosu.

Ze strwożoną twarzą obejrzała się dokoła... Potem zrezygnowana, przybrała swą dumną postać i szła obok niego jak królowa, przyjmująca łaskawie opiekę adjutanta. Ani jedna z tłoczących się tam klientek nie zauważyła nawet tej sceny. Deloche, wróciwszy do kontuaru z bertami, patrzał z otwartemi usty — jak ją prowadzą. Jakto? więc i ta wspaniała dama! to chyba wszystkie należy przetrząsać! Bianka na wolności pozostawiona szła zdaleka za matką, torując sobie drogę pośród potrącających łokci; — blada,

wahająca się pomiędzy obowiązkiem nieopuszczenia matki i strachem, by jej nie wypadło z nią pozostać. Ujrzawszy ją wchodzącą do gabinetu Bourdoncle'a, poprzestała na przechadzaniu się podedrzwiami.

Właśnie był tam Bourdoncle, którego pozbył się przed chwilą Mouret. Zazwyczaj on to wyrokował w sprawach kradzieży, popełnianych przez dystyngowane osoby. Ponieważ Jouve oddawna udzielił mu swych podejrzeń względem hrabiny, którą wciąż śledził, nie zdziwił się wcale, gdy mu tenże opowiedział rzecz w dwu słowach. Zresztą bywał świadkiem tak niezwykłych, wypadków, że sądził iż kobieta zdolną jest do wszystkiego, gdy ją ogarnie szał do gałganków. Wiedząc, że pryncypał zna osobiście tę złodziejkę, jak najgrzeczniej do niej się zwrócił.

— Umiemy uwzględnić te chwile słabości... Ale niech pani zechce rozważyć, dokąd mogłoby ją zaprowadzić takie zapomnienie. A gdyby też kto inny spostrzegł, żeś pani wsuwała w rękaw koronki!

Ale ona zawołała z oburzeniem:

— Ja, miałabym być złodziejką! Za kogoż mię pan bierzesz? Ja jestem hrabiną de Boves, mój mąż — to główny inspektor stad, bywający u dworu!

— Wiem, wiem to wszystko; — powtarzał spokojnie Bourdoncle. Mam honor znać panią...

Ale racz pani zaraz oddać koronki, które masz przy sobie...

Znowu się oburzyła, nie dała mu dojść do słowa; stała się majestatycznie piękną, pod wpływem gwałtownego uniesienia; pozwoliła sobie nawet łzami oblać tę zniewagę, uczynioną wielkiej damie. Inny na jego miejscu zachwiałby się i obawiał, że może zaszła nieszczęśliwa pomyłka, groziła bowiem, że się zwróci do sądu, dla pomszczenia podobnej obelgi:

— Strzeż się pan, mój mąż odwoła się do ministra.

— Widzę, że się pani tak nierozsądnie zachowujesz, jak inne — powiedział zniecierpliwiony Bourdoncle. Zrewidujemy panią, kiedy nas zmuszasz do tego.

Nie pomogło to jeszcze; powiedziała z dumną pewnością siebie:

— Bardzo dobrze, rewidujcie... ale uprzedzam, że ryzykujecie cały magazyn.

Jouve poszedł przywołać dwie sklepowe od gorsetów. Powróciwszy, oznajmił Bourdoncle'owi, że córka tej pani, pozostawiona na wolności, nie oddala się ode drzwi i zapytał, czyby nie należało jej także przytrzymać, chociaż nie zauważył, aby coś ściągnęła. Wspólnik zawsze taktowny, postanowił nie wpuszczać jej, ze względu na moralność, żeby matka nie potrzebowała ponosić wstydu wobec córki. Obaj panowie cofnęli się do sąsiedniego pokoju, a sklepowe rewidowały hra-

binę; zdjęły nawet suknię dla obejrzenia szyi i bioder. Oprócz falban z *point d'Alençon*, dwanaście metrów po tysiąc franków, schowanych w rękawie, znalazły na gorsie chusteczkę do nosa, wachlarz i krawatkę, ciepłe i przypłaszczone. Wszystko razem wynosiło około czternastu tysięcy franków. Od roku pani de Boves kradła w ten sposób nurtowana nieprzezwyciężoną, szaloną pokusą. Choroba ta pogorszała się, wzmagała, stała się rozkoszą i potrzebą jej życia, górowała nad ostrożnością. Tem skwapliwiej ją zadawalniała, że wypadało jej ryzykować w oczach tłumu imię swe, dumę i wysokie stanowisko męża. Obecnie, kiedy mąż pozwalał jej rabować szufladki, kradła z kieszenią pełną pieniędzy; kradła żeby kraść, jak się kocha, aby kochać. Gnana pożądliwością i newrozą, wskutek niezadowolonej żądzy zbytku, jaką w niej oddawna rozwijał widok ogromnych wystaw, w wielkich magazynach.

— To jest zasadzka! — wykrzyknęła, gdy weszli Bourdoncle i Jouve. Wsunięto mi te koronki, klnę się na Boga!

Płakała, doprowadzona do wściekłości; padła na krzesło, dusiła się od łez w sukni źle zapiętej. Wspólnik odprawił sklepowe, poczem rzekł ze swą spokojną miną:

— Chętnie zagłuszymy tę nieszczęsną sprawę, przez wzgląd na pani rodzinę; ale przedewszystkiem musisz pani podpisać następujące zeznanie:

„Ukradłam koronki w Magazynie Nowości”, dalej wyszczególnić te koronki i położyć datę... Zresztą, zwrócę pani ten papier, skoro mi przyniesiesz dwa tysiące franków na ubogich.

Powstała, wołając znowu z oburzeniem:

— Raczej umrę, aniżeli to podpiszę!

— Nie umrzesz pani... tylko uprzedzam, że zaraz poślę po komisarza policyi.

Nastąpiła potem okropna scena. Obrzucała go obelgami; bełkotała, że to podle ze strony mężczyzn tak dręczyć kobietę. Jej piękność Junony, jej majestatyczna postawa, nikły w miarę jak się stawała rozwścieczoną przekupką. Następnie próbowała rozczulić: błagała ich w imię matek; chciała im paść do nóg. Ale oswojeni będąc z takiemi scenami, pozostawali obojętnymi. Usiadła więc nagle i drżącą ręką pisała. Pióro pryskało, słowo: „ukradłam”, napisane z wściekłym naciskiem, omało co nie rozdarło cienkiego papieru. Powtarzała wciąż głosem przytłumionym:

— Proszę, o to jest, ulegam sile.

Bourdoncle wziął papier, starannie go złożył i wobec niej schował do szufladki, mówiąc:

— Jak pani widzi, pismo to znajduje się w licznem towarzystwie; bo chociaż te panie zazwyczaj mówią, że wolałyby umrzeć, niż to podpisać, potem wogóle nie żądają zwrotu swych słodkich bilecików. W każdym razie, będzie on u mnie do pani dyspozycyi; jest to pani rzeczą osądzić, czy wart dwóch tysięcy franków. Skończyła zapinać

suknię i odzyskała całą arogancyę, teraz kiedy już zapłaciła.

— Czy mogę wyjść? — zapytała ostro.

Bourdoncle już się czem innem zajmował. Wskutek raportu Jouve'a, postanowił wydalić Deloche'a; subiekt ten był strasznie tępy, ciągle pozwalał się okradać, nigdy nie mógł pozyskać przewagi nad klientkami. Pani de Boves, powtórzyła swe pytanie i gdy ją uwolnili potwierdzającym znakiem, ogarnęła ich obu zabójczym wzrokiem. Z pomiędzy grubiańskich słów, jakie w sobie tłumiła, wyrwał jej się melodramatyczny wykrzyknik:

— Nędznicy! — zawołała, zatrzaskując drzwi.

Przez cały czas Bianka, nie oddalała się ode drzwi gabinetu. Niewiadomość co się tam dzieje, kręcenie się Jouve'a i sklepowych, wzburzały ją i budziły obawę żandarmów, sądów i więzienia. Nagle osłupiała, widząc, że stoi przed nią Vallagnosc, ten mąż dopiero od miesiąca poślubiony, którego poufałość zawstydzała ją jeszcze. Zadziwiony jej osłupieniem dopytywał się, co jej jest.

— Gdzie twoja matka?... czyś ją w tłumie zgubiła? — odpowiedźże, niepokoisz mię.

Żadne sensowne kłamstwo nie przychodziło jej do głowy. Zrozpaczona, powiedziała z cicha:

— Mama... mama ukradła...

— Jakto! ukradła? Nakoniec zrozumiał. Nalana twarz żony, okropnie blada i strwożona, przestraszyła go.

— Koronki... tu do rękawa, — bąkała.

— Więceś to widziała, patrzałaś na to? — szeptał, lodowaciejąc na myśl, że i ona może brała udział.

Lecz musieli umilknąć, bo niektóre osoby zwracały już ku nim głowy. Przez chwilę stał Vallagnosc nieruchomo, pod wpływem przykrego wahania. Co tu począć? Postanowił wejść do Bourdoncle'a, kiedy spostrzegł Moureta, przechodzącego przez galeryę. Kazał żonie zaczekać i schwycił za ramię starego kolegę, któremu urywanemi słowy, wyjaśnił rzecz całą. Mouret wprowadził go czemprędzej do swego gabinetu, uspokoił co do złych następstw, zapewnił, że nie potrzebuje wdawać się w tę sprawę i objaśnił w jaki sposób prawdopodobnie załatwioną będzie. Kradzież ta nie sprawiła na nim wrażenia, jak gdyby się jej oddawna spodziewał.

Lecz Vallagnosc, uwolniwszy się od obawy natychmiastowego aresztu, nie tak spokojnie zapatrywał się na tę przygodę. Padł na fotel i będąc już w stanie rozumować, zaczął utyskiwać nad swojem położeniem.

— Czy podobna? A więc wszedłem w rodzinę złodziejów! Przez głupotę ożeniłem się jedynie dla przypodobania się ojcu!

Zdziwiony tą gwałtownością chorowitego dziecka, Mouret patrzał na płaczącego, przypominając sobie dawne jego pozowanie na pesymistę. Alboż nie dowodził ze dwadzieścia razy, że życie jest

nicością i że tylko ujemne jego strony dają mu trochę powabu. Pozwolił sobie żartować, prawiąc w przyjacielskim tonie o obojętności. Ale Vallagnosc rozgniewał się, nie mógł on odzyskać swojej filozofii zbitej z tropu. Wychowanie mieszczańskie wzbudzało w nim cnotliwe oburzenie przeciwko świekrze. Jak tylko zetknął się z rzeczywistością, z doświadczeniem, jak tylko zadrasnęło go osobiście nieszczęście, z którego wyśmiewał się na zimno, fanfaroński sceptycyzm znikał, ustępując zgnębieniu. Tak ohydnie szargano w błocie jego ród, zdawało się, że świat cały runie od tego.

— Uspokój się; — rzekł Mouret, zdjęty litością. Już ci nie będę mówił, że się wszystko przytrafia i zarazem nic się nie przytrafia, bo widzę, że to cię nie pociesza. Ale zdaje mi się, żeś powinien pójść podać ramię pani de Boves; to będzie daleko rozsądniej, aniżeli zrobić skandal... Cóż u dyabła! przecieżeś głosił, że trzeba traktować z flegmatyczną wzgardą łotrowstwa ludzkie.

— To dobre, jeżeli się tycze innych!—wykrzyknął Vallagnosc naiwnie.

Jednakże podniósł się i poszedł za radą dawnego kolegi. Obaj powracali do galeryi, kiedy pani de Boves wyszła od Bourdoncle'a. Przyjęła ona majestatycznie ramię zięcia. Mouret kłaniając jej się z galanteryą pełną uszanowania, słyszał, że powiedziała:

— Przeprosili mię. Doprawdy te pomyłki są okropne!

Bianka, przyłączywszy się do nich, szła z tyłu. Powoli zniknęli w tłumie.

Mouret pozostawszy sam, znowu się puścił zamyślony na przechadzkę po magazynach. Po scenie tej, która go oderwała na chwilę od wewnętrznej walki, gorączka znów się wzmogła, prąc do stanowczego przedsięwzięcia. W umyśle jego wiązały się z sobą w mglisty sposób; kradzież tej nieszczęsnej i wyuzdany szał klientek zwalczonych, leżących u stóp kusiciela, wywołując dumny i mszczący się obraz Dyonizy, która nad nim zapanowała. Zatrzymawszy się na szczycie centralnych wschodów, długo patrzył na rozległą nawę, gdzie się tłoczyła rzesza kobiet.

Zbliżała się szósta godzina; zapadający zmrok rozchodził się po krytych galeryach i hallach. Wśród znikającego światła dziennego, powoli jedna po drugiej, zapalały się lampy elektryczne, których globy matowej białości oświecały jakby księżyc w pełni głębie kantorów. Była to biała jasność, oślepiająco nieruchoma, rozlewająca się jak odblask bezbarwnych gwiazd, usuwający zmrok. Kiedy nakoniec wszystkie zapłonęły, powstał w tłumie szmer podziwienia; wielka wystawa białości, przybrała pozór pysznej czarodziejskiej apoteozy, przy tem nowem oświetleniu. Zdawało się, że się paliło to kolosalne wyuzdanie białości, iż się samo staje światłem. Pieśń

białości wznosiła się wśród płonącej białości jutrzenki. Białe światło wytryskało z perkali i płócien galeryi Monsigny, podobne do pierwszej smugi światła, ukazującej się na niebie od strony wschodu. Wzdłuż galeryi Michodière, norymbergskie towary, pasmanterye, artykuły paryzkie i wstążki, rzucały blaski oddalonych wzgórz, świecąc perłową białością guzików, bronzów posrebrzanych i pereł. Lecz najgłośniejszy śpiew wypływał z centralnej nawy, drżącej od płomieni: bufy z białego muślinu naokoło kolumn lekkie tkaniny bawełniane i piki, drapujące schody, białe kołdry zawieszone jak chorągwie, gipiury i koronki, unosząc się w powietrzu, otwierały nieznany firmament marzeń, drogę do raju, pośród oślepiającej białości, gdzie uroczyście obchodzono gody ślubne nieznanej królowej. Namiot jedwabny rozbity w halli, stanowił alkowę olbrzymią, z białą kotarą z gazy białej i tiulu białego, których blask chronił przed oczami ciekawych białą nagość panny młodej. Wszędzie panowała tylko białość olśniewająca: białość świateł, w której zlewały się wszystkie białości, pył z gwiazd śnieżnych, unoszący się w jasności białej.

Mouret wciąż się przyglądał swej rzeszy kobiet, snującej się pośród migotania świateł. Cienie czarne mocno odbijały od płowego tła. Długie prądy bruździły tłum, gorączka tego dnia wielkiej sprzedaży sprawiała zawrót we wszystkich tych krzyżujących się z sobą głowach. Za

częto się rozchodzić, resztki poszarpanych materyj pokrywały kontuary; złoto dźwięczało w kasach; klientela zaś zrabowana, zgwałcona, wychodziła nawpół zwalczona, ze skrytym wstydem. — W ten sposób on je posiadał, trzymał je w swej władzy, ciągłem nagromadzeniem towarów, obniżaniem cen, zaprowadzeniem „zwrotów”, galanteryą swoją i reklamą. Zawojował nawet matki; królował nad wszystkiemi, jak brutalny despota, którego kaprys podkopuje rodziny. Jego kreacya wprowadziła nową religię. Bazar jego zastąpił żądnym wrażeń duszom kościoły, zaczynające się opróżniać skutkiem chwiejącej się wiary. Kobieta spędzała u niego wszystkie wolne godziny, które niegdyś pełne wstrząśnień i niepokojów schodziły jej w głębi kaplic: — był to nieunikniony odpływ namiętności nerwowej; ciągle wskrzeszana walka bóstwa jakiegoś z mężem, nieustająca, wznawiana cześć dla ciała i boskiej cząstki piękności. Gdyby zamknął swój magazyn, powstałoby zamieszanie uliczne, coś nakształt rozpaczliwego krzyku dewotek, którymby odebrano ołtarz i konfesyonał. Pociąg ich do zbytku tak się wzmógł w ostatnich dziesięciu latach, że pomimo spóźnionej godziny, snuły się wśród budowy metalicznej wzdłuż wschodów zawieszonych w powietrzu i wiszących mostów. Pani Marty z córką, zabłąkane aż na wyżynach, odbywały pielgrzymkę, pomiędzy meblami. Pani Bourdelais, którą zatrzymywała dziatwa, nie mogła się wyrwać z od-

działu artykułów paryskich. Nadeszła też gromadka nasza: pani de Boves z Bianką, trzymając ciągle pod rękę Vallagnosca; zatrzymywała się w każdym oddziale, śmiejąc jeszcze oglądać materye ze swą imponującą miną. Ale z pomiędzy wszystkich klientek, z pomiędzy tego morza falujących życiem, pałających żądzą kibici, zdobnych w bukieciki z fiołków, jak w czasie godów popularnej królowej, on widział tylko panią Desforges przy rękawiczkach z panią Guibal. Gdy pomimo zazdrości i żalu doń, także kupowała, poczuł się raz jeszcze panem ogółu... trzymał je wszystkie pod nogami, oślepione ogniem elektrycznym jakby trzodę, z której wyssał swą fortunę. Machinalnym krokiem szedł Mouret wzdłuż galeryj tak zamyślony, że dał się unosić przez tłum. — Podniosłszy głowę, ujrzał się w nowym oddziale mód, którego okna wychodziły na ulicę Dziesiątego Grudnia. Tam z czołem opartem o szybę, patrzał na osoby wychodzące. Słońce zbliżające się ku zachodowi, ozłacało szyby białych domów; błękitne niebo bladło, odświeżone silnym i czystym powiewem wiatru; a w zmierzchu ogarniającym ulicę lampy elektryczne *Bonheur*, rzucały blask nieruchomy, jakby gwiazdy świecące na horyzoncie, przy schyłku dnia. W stronie Opery i Giełdy, stał nieruchomo potrójny rząd powozów ogarnięty zmrokiem, na uprzęży tylko odbijały się żywe światła: to błysk latarni, to iskry srebrzystych wędzideł. Co sekunda słychać było

wołanie chłopców w liberyi i zajeżdżała zaraz dorożka lub kareta, by zabrać klientkę i oddalić się kłusem, hucząc po bruku. Szeregi się zmniejszały, sześć powozów toczyło się w rząd, pośród trzaskania biczów, szmeru pieszych przemykających się pomiędzy kołami. Był to ciągły wylew, promieniowanie klienteli, unoszonej na cztery rogi miasta, opróżniającej magazyny z szumem otwartej tamy. Jednakże dachy *Bonheur*, wielkie złocone litery szyldów, chorągwie, błyszczały ciągle od promieni zachodzącego słońca i wydawały się tak kolosalne przy tem ukośnem oświetleniu, że stanowiły olbrzymią reklamę dla falansteru, którego skrzydła coraz liczniejsze, pożerały całe dzielnice, aż do oddalonych lasów na przedmieściu. Rozległa dusza Paryża z oddechem potężnym a łagodnym, usypiała w ten pogodny wieczór, przebiegała miękką i długą pieszczotą po ostatnich powozach, przemykała się po ulicach, zwolna opróżniających się i zapadających w nocnej pomroce.

Mouret, stojąc z wejrzeniem zagłębionem w ciemne ulice, uczuł, iż zaszło w nim coś wzniosłego i w tym dreszczu tryumfu, od którego drżał całem ciałem, wobec pochłoniętego przezeń Paryża i zwyciężonej kobiety, poczuł nagłą słabość i upadek woli. Przyszła nań kolej paść zwalczonym przez wyższą siłę. Ogarnęła go żądza, nie dająca się wyrozumować: wśród zwycięztwa swego pragnął zostać zwyciężonym i był to bezsens

wojownika, uginającego się pod kaprysem dziecka nazajutrz po wywalczonej zdobyczy. On, który od tylu miesięcy i dziś rano jeszcze przysięgał, że stłumi swą namiętność,—nagle uległ, porwany jakby na wysokościach zawrotem głowy, szczęśliwy, że gotów uskutecznić to, co dotąd za głupstwo uważał. To niespodziane postanowienie, nabrało w jednej chwili takiej energii, że obecnie ono jedno wydawało mu się pożyteczne i potrzebne na świecie całym.

Wieczorem, po wieczerzy, oczekiwał w swym gabinecie, drżąc jak młodzieniec, który szczęście swe na kartę stawia; nie był zdolny pozostawać na jednem miejscu, wracał ciągle do drzwi, żeby nadstawiać ucha na szmer w magazynach, gdzie subiekci porządkowali, brnąc w rumowiskach pozostałych po całodziennej sprzedaży. Za każdym odgłosem kroków biło mu serce. Doznał nakoniec silnego wzruszenia, usłyszawszy zdaleka głuchy szmer... poskoczył naprzód.

Było to powolne zbliżanie się Lhomme'a, obciążonego pieniędzmi. Owego dnia straszny to był ciężar, tyle zainkasowano miedzi i srebra w monecie, że wezwać musiał dwóch chłopców do pomocy. Za nim Józef wraz z kolegą, uginali się pod ciężarem worków ogromnych, które im rzucono na plecy, jakby wory z gipsem. Lhomme szedł na czele, niosąc złoto, portfel naładowany banknotami i dwie torby zawieszone na szyi, któ-

rych ciężar zginał go na prawo, w stronę uciętego ramienia. Powoli, pocąc się i dysząc, dążył z głębi magazynów, pośród rosnącego zdumienia subiektów. Rękawiczki i jedwabie, żartując, ofiarowywały swą pomoc; sukna i wełna życzyły, aby się poślizgnął i rozsypał złoto na cztery rogi oddziału. Potem musiał wejść na schody, przejść przez most wiszący, iść jeszcze wyżej, kręcić się po gmachu, gdzie za nim goniły wzrokiem białe towary, wyroby pończosznicze i norymberszczyzna, w uniesieniu z otwartemi usty wobec tej fortuny unoszonej w powietrzu. Na pierwszem piętrze: konfekcye, perfumerya, koronki, szale, stały z kornem poszanowaniem w szeregu, jak kiedy przechodzi procesya. Wrzawa zbliżała się coraz bardziej; w końcu stała się krzykiem ludu, który wita złotego cielca.

Tymczasem Mouret otworzył drzwi i zjawił się Lhomme w towarzystwie dwóch chwiejących się chłopców i chociaż brakło mu tchnienia, zawołał:

— Milion dwa kroć czterdzieści siedem tysięcy franków dziewięćdziesiąt pięć centymów!

Nakoniec był to milion, milion zebrany jednego dnia; cyfra, o której dawno marzył Mouret. Ale z gniewnym gestem, z miną człowieka, który zawiedziony został w oczekiwaniu, rzekł niecierpliwie:

— Milion, połóż go tam.

Lhomme wiedział, że pryncypał lubi widzieć na swem biurku grube sumy, zanim się je złoży w centralnej kasie. Milion pokrył całe biurko, przygniótł

papiery i tylko co nie rozlał atramentu; złoto, srebro i miedź wysypały się z worków, rozdzierając je i utworzyły wielki stos dochodu brutto, tak jak wyszły z rąk klienteli, jeszcze ciepłe i żywe.

W chwili kiedy się kasyer oddalał, wzburzony obojętnością pryncypała, przybył Bourdoncle, wesoło wykrzykując:

— A cóż, mamy go nakoniec! schwytaliśmy tym razem milionik!

Lecz zaraz zauważył gorączkowy niepokój Moureta, zrozumiał go i umilkł. Radość błysnęła mu w oku. Po krótkiem milczeniu, rzekł:

— Zdecydowałeś się, prawda? pochwalam ci to.

Nagle Mouret stanął przed nim i piorunującym głosem, jakim się odzywał w chwilach najgwałtowniejszego rozdrażnienia, zawołał:

— Zanadtoś wesół... masz mnie za przepadłego, więc zęby już pokazujesz! Nie licz na to... ja się nie dam zjeść!

Zbity z tropu niespodzianą napaścią tego szatana, który wszystko odgadywał, Bourdoncle bąkał:

— Co znowu? żartujesz chyba? podejrzewasz mnie,—co cię tak uwielbiam!

— Nie kłam! — jeszcze gwałtowniej przerwał Mouret. — Słuchaj, głupi byliśmy z tym przesądem, że małżeństwo byłoby naszą zgubą. Alboż ono nie jest potrzebnem zdrowiem, siłą i porządkiem życia! Tak, mój kochany, poślubię ją, a was wszystkich za drzwi wypędzę, jeżeli się będziecie

zżymać. Tak! i ty, Bourdoncle, wraz z innymi, pójdziesz do kasy po rozrachunek!

Pożegnał go gestem, Bourdoncle uczuł, że jest skazany i wygnany, skutkiem zwycięztwa odniesionego przez kobietę. Właśnie w tej chwili wchodziła Dyoniza, oddał jej więc głęboki ukłon, tracąc głowę.

— Nakoniec przyszłaś pani—powiedział Mouret łagodnie.

Dyoniza była blada ze wzruszenia. Tylko co doznała ostatniego smutku; Deloche oznajmił jej bowiem, że go wydalono. Gdy się starała zatrzymać go, obiecując za nim przemówić, uparł się, że nie będzie walczył ze swą niedolą, że zniknie z oczu. Pocóż miałby zostawać? Na co miał zakłócać ludziom szczęście? Dyoniza pożegnała go jak brata, ze łzą w oku. Czyż ona sama nie pragnęła zapomnienia? Wszystko się miało skończyć; chciała tylko jeszcze natężyć wyczerpane siły, żeby odważną być przy rozstaniu. Za kilka minut, jeżeli znajdzie dosyć męztwa, żeby zmiażdżyć swe serce, będzie się mogła usunąć sama jedna, żeby płakać w oddaleniu.

— Pan sobie życzyłeś zobaczyć się ze mną — powiedziała ze zwykłym spokojem.—Zresztą, sama byłabym przyszła, żeby podziękować za doznane dobrodziejstwa.

Wchodząc, spostrzegła milion na biurku i ubodła ją ta wystawa pieniędzy. Po nad nią, jakby się przypatrywała tej scenie, pani Hédouin w zło-

tej ramie, zachowywała wiekuisty uśmiech na malowanych ustach.

— Czy zawsze trwasz pani w zamiarze opuszczenia nas?—zapytał Mouret drżącym głosem.

— Tak, panie; muszę.

Wziąwszy ją za ręce, powiedział wtedy z tkliwością tem żywszą, że się tak długo przymuszał do chłodu:

— A gdybym się z tobą ożenił, Dyonizo, odjechałabyś?

Lecz ona cofnęła swe ręce i widocznie szarpana wielką boleścią.

— O! panie Mouret, proszę cię, zamilknij! Nie przyczyniaj mi więcej smutku!... Nie mogę!... nie mogę!... Bóg świadkiem, że chciałam usunąć się, dla uniknienia tego nieszczęścia.

Broniła się dalej urywanemi słowy. Małoż ucierpiała przez plotki całego magazynu? Czy chciał, żeby ją ludzie i ona sama mieli za intrygantkę? Nie, nie, znajdzie dość siły; nie pozwoli mu popełnić tego głupstwa. On, pełen udręczeń słuchał, powtarzając namiętnie:

— Ja pragnę tego... całą duszą...

— Nie, to jest niepodobieństwem. A moi bracia? przysięgłam nie pójść nigdy za mąż; przecież nie mogę panu narzucać dwojga dzieci, nie prawdaż?

— Oni będą i moimi braćmi,—przystań Dyonizo!

— Nie, nie; puść mię pan, bierzesz mnie na męki!

Powoli siły go opuszczały. Ta ostatnia przeszkoda, doprowadzała go do szału. Jakto? nawet teraz go odrzuca. Słyszał zdaleka dolatujące głosy trzech tysięcy służalców, pogrążających ręce w jegó królewskiej fortunie. A ten głupi milion, który tam leży... wydawał mu się bolesnem szyderstwem... byłby go chętnie wyrzucił na ulicę!

— A więc jedź pani!—krzyknął wylewając potok łez. — Jedź do swego ukochanego. Wszak to jest przyczyną, prawda? Uprzedziłaś mię o tem, powinienem był pamiętać i nie dręczyć cię.

Przeraziła się tą gwałtowną rozpaczą: serce jej się rwało; wtedy — popędliwie jak dziecko, rzuciła mu się na szyję ze łkaniem i wyjąkała:

— O! panie Mouret, to pana... ja... kocham!

Ostatnia wrzawa doleciała z *Bonheur des Dames*: oddalone poklaski tłumu. Portret pani Hédouin uśmiechał się malowanemi usty. Mouret usiadł na biurku pośród miliona, którego już nie widział. Nie puszczał Dyonizy, z namiętnem uniesieniem przyciskał ją do piersi, mówiąc, że teraz może pojechać, spędzić cały miesiąc w Valognes, czem ludziom zamknie usta, a potem sam po nią przyjedzie i wróci u jego boku jak wszechwładna pani.

K O N I E C

20 zł.-